ZET

sztuka kultura sprawy społeczne

DWUTYGODNIK POD REDAKCJĄ JERZEGO BRAUNA

ROK III NR. 14 (62) — WARSZAWA, DNIA 15 PAŹDZIERNIKA 1934 R. — CENA 50 GR.

Dr. Jekyll i mr. Hyde

Większość naszych czytelników zna z pewnością ów mit angielski, grywany niegdyś — w wersji scenicznej — w Grand Guignolu, a ostatnio rozpowszechniony w wersji filmowej, w interpretacji, która dzięki znakomitej grze tytułowego artysty naprawdę mrozi krew w żyłach.

Młody lekarz angielski, dr. Jekyll, umysł głęboki, moralista, dżentelmen w każdym calu, głosi w swych wykładach uniwersyteckich teorję dwoistości jaźni; zdaniem jego człowiek składa się z dwu istot: wyższej, szlachetnej i zdyscyplinowanej, pojemnej na prawdę, dobro i piękno, świadomej siebie, oraz: niższej, utajonej w mrokach podświadomości, dzikiej, o jaskiniowych, najpierwotniejszych popędach. Pierwsza to oczywiście osobowość, druga to zwierzęcość ludzka; odpowiednikami ich są dobro i zło w człowieku. Tej drugiej, niższej natury nie należy — zdaniem jego — otamowywać, bo gromadzi to w duszy niebezpieczny ładunek złej energji, która kiedyś wybuchnąć musi z niszczycielską siłą: trzeba jej od czasu do czasu dać ujście, oszukując niejako jej głód, a wówczas wyższa natura ludzka odzyska pełną swobodę działania. (Nawiasowo mówiąc, w koncepcji tej, głoszonej i dziś całkiem serjo, przez niektóre szkoły psychologiczne, odzwierciedla się struktura duszy Anglika, z jego wymuszonym spokojem dżentelmena, pod którym ukrywa się natura zmysłowa, żywiołowa i afektywna).

Dr. Jekyll zna z intymnego doświadczenia dwoistość tę, którą głosi; w jego własnej duszy gnieżdżą się różne niskie popędy, które on jednak rozumem i siłą woli opanowuje, każąc im milczeć. Pewnego razu postanawia on wypróbować na sobie swą teorję. Wynajduje tajemniczy eliksir, który zmienia na chwilę jego powierzchowność; piękny, szlachetny młodzieniec przedzierzga się w maszkarę, prymitywną bestję ludzką o rysach goryla i szponach krogulca. Tak przeistoczony, dr. Jekyll w przebraniu wymyka się co wieczór do londyńskiej dzielnicy występku, aby tam zakosztować sprzedajnej miłości i różnych ekscesów. Nad ranem łyk eliksiru przywraca mu dawną postać.

Ale sobowtór jego, potworny mr. Hyde, zaczyna wkrótce brać górę. Twarz i postać lekarza, ku jego strasznemu przerażeniu, przeobraża się już sama, bez eliksiru, wbrew jego woli. Dr. Jekyll ulega przemocy mr. Hyde'a, popełnia sadystyczne zbrodnie. Razu pewnego, gdy bawi on u swej narzeczonej, córki profesora uniwersytetu, upiorny skurcz opanowuje go, i dżentelmen przedzierzgnięty w bestję leśną, rzuca się na dziewczynę. Mord seksualny. Potwór ścigany przez ludzi, dopada drzwi swego domu, zanim jednak zdołał przez łyk eliksiru przywrócić sobie dawną postać, zostaje zastrzelony. Dopiero po śmierci twarz jego odzyskuje normalny wygląd.

Daliśmy tu tak obszerny opis tej starej brytyjskiej opowieści, gdyż: 1) stanowi on nowożytną wersję mitu o *upadku człowieka*, który zakosztował owocu wiadomości złego i dobrego, 2) jest doskonałym symbolem ustroju moralnego człowieka, złożonego w istocie z tych dwu elementów składowych: osobowości i zwierzęcości, 3) ukazuje idealny przekrój historji ludzkości. Historja jest bowiem systemem równowagi chwiejnej między temi dwoma szalami: przewaga osobowości oznacza wyzwolenie się z pęt zwierzęcości i zła, co wyrażone jest w idei odrodzenia duchowego ludzkości i królestwa Bożego na ziemi, — zaś przewaga zwierzęcości oznacza triumf owej symbolicznej bestji apokaliptycznej, wyrażony w idei upadku człowieka.

Sens historji z dr. Jekyllem jest bardzo prosty: osobowość, ugruntowana na prawie moralnem, musi panować bez przerwy nad zwierzęcością w człowieku, ta bowiem, raz dopuszczona do głosu, nie da się już ujarzmić, i ciągnie w dół jak spadek lawiny, w otchłań zbrodni i zupełnego zdziczenia.

Pocóżeśmy ją opowiedzieli? Oto dlatego, że w oczach naszych oblicze Europy współczesnej, tej szlachetnej, cywilizowanej Europy, deklamującej o kulturze i ideałach humanitarnych, przeobraża się raz po raz w złowrogi pysk mr. Hyde'a. Dr. Jekyll prezyduje wprawdzie na kongresach międzynarodowych, na cercle'ach dyplomatycznych, na konferencjach rozbrojeniowych i posiedzeniach Ligi Narodów; dr. Jekyll deklamuje bardzo pięknie o sprawiedliwości i o wzniosłych zasadach pokoju, wolności, miłości bliźniego; ale nocą, gdy lampy pogasną, dr. Jekyll prędko pociąga haust tajemniczego eliksiru, i zaczyna odbywać swoje ohydne zakulisowe praktyki. Para się niemi wprawdzie w ukryciu, jednakże raz po raz skurcz wstrząsa nim w biały dzień, przed forum struchlałych narodów, nie poznających swego własnego, cywilizowanego oblicza w tych dzikich, okrwawionych mordach morderców, sutenerów politycznych, prowokatorów i gangsterów. Raz poraz szala opada w dół z przeraźliwym zgrzytem i oto czytamy: „Zamordowanie Dollfusa!“ „Hitler wystrzelał całą elitę S. A.“, „Bolszewicy morzą głodem Ukrainę“, „Zamach na króla Aleksandra i śmierć Barthou“, „Zabójstwo min. Pierackiego“, „W Hiszpanji spalono 50 kościołów“ i t. d., i t. d.

Sygnały biesa alarmują nas coraz częściej. Przedpotopowe, bestjalskie zło wydobywa się na wierzch z radosnym kwikiem triumfu. W kąt idą: rozum i prawo moralne, hula irracjonalny żywioł nienawiści i zbrodni. Wypadki rozwijają się tak, jakby wcale nie było kilkudziesięciu wieków żmudnego postępu, jakby na marne poszło męczeństwo i bohaterskie poświęcenie jednostek wyjątkowych, jakby nie doskonalił się mózg ludzki i jakby nie istniały wcale religje i doktryny moralne, wytrwale wszczepiające narodom pojęcia dobra i czystości etycznej.

Gdzie źródło tego straszliwego rozprzężenia, zdającego się zalewać nas już bez ratunku? Szukać go należy chyba w tem rozdwojeniu duszy Europy współczesnej na dwie natury i dwie miary: „politykę“ i moralność.

Przeświadczenie o amoralizmie polityki stało się dziś czemś notorycznem, przez nikogo niekwestjonowanem. Ludzkość powinna być uczciwą, t. zn. ludzką, ale w pewnych okolicznościach wolno jej być bydlęciem. Głos opinji publicznej, w tym kierunku oddawna zresztą tresowany, zezwala na te dwie miary, na współistnienie obok siebie niewzruszalnych norm moralnych i tego cynicznego braku skrupułów, jaki charakteryzuje życie polityczne. W każdym wypadku prawo powinno iść przed siłą, na to się godzą wszyscy; jednakowoż furtka... dla wyjątku zostaje otwarta. W polityce daje się placet na maksymę: „siła przed prawem“. Jest to zupełnie tak jakby się mówiło: człowiek powinien być uczciwy, ale w pewnych okolicznościach człowiekowi wolno być bandytą. Nazywa się to „koniecznością polityczną“, „racją stanu“, „koniecznością życiową“ wreszcie. Dziwna rzecz jednak, że gdy przeciętny, szary obywatel uzna, że defraudacja powierzonej mu kwoty, lub zamordowanie własnej żony, jest dlań koniecznością życiową w danej chwili, wsadza się go bez apelacji do kryminału.

Ta podwójna miara musi się zemścić. W ślad za uprawnieniem gwałtu w stosunkach politycznych, przychodzi zobojętnienie sumienia społecznego na kategorje moralne i rozluźnienie więzów etycznych na wszystkich polach. Samorzutna praworządność musi być wówczas zastępowana terrorem, systemem brutalnego przymusu, z pod którego zresztą zła wola i tak potrafi się wyłamać. Życie ludzkie traci wartość, więzienia przepełniają się. Rozum i sumienie nie ma już ceny, pałka staje się jedynie szacowanym argumentem. Bydlę pokazuje rogi i szpony.

Oto czem płaci Europa za obłudną teorję o moralności publicznej na codzień, a wyzuciu z wszelkich skrupułów w rzeczach polityki, zarówno wewnętrznej, jak międzynarodowej. Cześć dla prawa moralnego, wraz z poczuciem praworządności, zostaje powoli wykorzeniona do szczętu. Oduczają jej zaś częstokroć sami ci sternicy naw państwowych, którzy sądzą, że mogą innych nauczyć posłuszeństwa prawu, gdy sami je depcą. Codzienna bezprawność regime'u sowieckiego, wymordowanie bez sądu całego sztabu współpracowników Hitlera, oto szkoła wyższa, w której dorasta „duchowość“ Europy współczesnej. Czyż można się potem dziwić stałemu wrzeniu rewolucyjnemu, wstrząsającemu nasz kontynent raz po raz konwulsyjnemi drgawkami? Czy można się dziwić nieustannej kotłowaninie, atmosferze dzikiej nienawiści pomiędzy klasami społecznemi i narodami, albo tym zwierzęcym zamachom, targającym się bez skrupułów na świętość ludzkiego życia?

Pewien dziennikarz, zapytany, co sądzi o zamachu na Dollfusa, oświadczył, że hitlerowcy, jako ludzie o przeciwnych przekonaniach, mieli prawo zamordować kanclerza; tak samo przyznał ten człowiek Ukraińcom prawo do zamachu na min. Pierackiego. Jest to oczywiście fałsz i każdy człowiek o niezagłuszonem poczuciu moralnem powie, że niema okoliczności, którąby usprawiedliwiała zbrodnię. Zło jest złem nie relatywnie, lecz absolutnie. Ale dziennikarz ten nie był bynajmniej jakimś osobnikiem szczególnie zdeprawowanym: był tylko megafonem oddawna urobionej opinji publicznej. Niepostrzeżenie dokonał się w nim proces ten sam, co w całej psychice europejskiej: mr. Hyde, któremu sfolgowano, zajął miejsce dr. Jekylla, który sam już nie wie kiedy i jak twarz jego ulega ohydnemu przeobrażeniu.

Jak dalece sumienie zbiorowe Europy zatraciło już zdolność do odruchów spontanicznych sądu moralnego, dowodzi sprawa z wprowadzeniem Sowietów do Ligi Narodów. Oprócz nielicznych wyjątków nikt się nie oburzył, że złoczyńca zasiadł w aureoli zbawcy w areopagu narodów. Dr. Jekyll, uśmiechnięty dżentelmen, uścisnął bez skrupułów szponiastą dłoń mr. Hyde'a, witając go niskim reweransem.

Wszystko to wskazuje na rzecz groźną: „bestja apokaliptyczna“ niedługo już zedrze ostatnie maski i z twarzy Europy lada dzień wyjrzeć może ku nam smoczy łeb przedpotopowego gada, wychodzącego na żer ze swojej jaskini w potajemnych kryjówkach podświadomości. To nie przesada. Ewentualność ta jest bliższą niż się wydaje. Tylko jedna cienka ściana oddziela osobowość ludzką od ciemnej, biologicznej zwierzęcości; ściana ta to wypracowane w ciągu dziejów normy etyczne, historja bowiem wydźwignęła nas z odmętu fizyczności tylko przez przeciwstawiający się jej popędom twór wolnej woli rozumnej: systemat praw moralnych. Zniszczenie tej subtelnej kreacji dziejowej musiałoby nas strącić na dno z powrotem. A przecież to, co dziś obserwujemy w Europie, jest niczem jak systematyczną, permanentną dezorganizacją ładu moralnego, wygaśnięciem tej cudotwórczej normy, która była istotną dźwignią człowieczeństwa i historji.

Powstaje teraz pytanie, skąd wziął się ten ponury stan rzeczy? W jaki sposób zrodziła się w umysłowości europejczyka fałszywa koncepcja podwójnej miary moralnej, teorja politycznego mr. Hyde'a, któremu należy folgować w pewnych wypadkach? Kogo obciążyć odpowiedzialnością za to skażenie duszy zbiorowej? Chyba tylko tych, którzy celowo i świadomie prowadzą od stuleci nieubłaganą walkę przeciwko dwu najtrwalszym instytucjom etycznym: państwu i kościołowi, opokom ładu moralnego, ustawicznie atakowanym z podziemia; chyba tych, którzy zniszczyli autorytet władzy, wzbudzając nienawiść tłumów przeciwko rządcom państw, czuwających nad przestrzeganiem publicznem porządku prawnego, — którzy zohydzają kościół, ten jedyny dziś jeszcze rząd sumień, stojący na przeszkodzie ostatecznemu wykorzenieniu norm moralnych z duszy zbiorowisk społecznych.

W poszukiwaniu winowajcy, sięgnąć trzeba przedewszystkiem do urodzonej w lożach masońskiego laicyzmu rewolucji francuskiej, która obok *słusznej* zasady praw człowieka, postawiła też *fałszywą* i zbrodniczą zasadę wyłączenia z ustroju politycznego transcendentnego autorytetu prawa moralnego; z tej to bowiem himerycznej zasady wyłoniła się fikcja „umowy społecznej“, obalająca autorytet władzy, oraz zażarta walka z ideałem religijnym ludzkości, toczona pod sztandarem djabelsko przewrotnego hasła: ecrasez l'infame! Bękartem jej stał się socjalizm ze swoim mitem rewolucji powszechnej i z hasłem: „religja to opjum dla ludu!“; socjalizm, który wyrodniejąc w różne odnogi i narośle anarcho-syndykalistyczne, zrodził wreszcie nowy dziwotwór: komunizm, anomalję historyczną, otwarcie już przyznającą się do bliskiego pokrewieństwa z bestją ludzką.

Rzecz znamienna, że po wojnie światowej już i prawica społeczna wzięła z rąk lewych zakazany owoc destrukcji moralnej. Nacjonalistyczno - faszystowski hitleryzm, spoufalił się z mr. Hyde'm bez żenady. Czemże jest bowiem religja rasizmu, ubóstwienie ciemnego biosu krwi, czem jest wojna Rosenberga z religją, czem są enuncjacje Goeringa, że wola i siła jednostki rządzącej stoi ponad prawem, czem są wreszcie owe masowe autodafé, — jak nie wyzwoleniem zwierzęcości w człowieku? Zaprawdę to mr. Hyde hula w kraju Kantów, Schellingów i Heglów.

Europejski dr. Jekyll już tylko udaje, już nie jest sobą. Blada twarz sztucznie opanowanego dżentelmena z trudem zwalcza konwulsyjny skurcz zwierza. Z poza ust, kłamiących o sprawiedliwości, pokoju i kulturze, widać złe, wyszczerzone kły bestji, którą zapach krwi wyłamuje raz po raz z pod wszelkiej kontroli rozumu i prawa.

Jeszcze jedna odpowiedź

Ze znacznem, całowakacyjnem opóźnieniem przystępuję do odpowiedzi na skierowane przeciw mnie artykuły w „Zecie": „Konni Czwartacy" p. A. Ł. C(ybulskiego) w n-rze z dn. 1. VI b. r. oraz p. Jerzego Brauna „Niebezpieczny rewizjonizm" w n-rze następnym.

Pięknie napisany, głęboki i lojalny względem przeciwnika przy całym zapale polemicznym artykuł J. Brauna wciąga mnie na tereny, których starałem się uniknąć, i na których z góry, we wstępie do mego artykułu w nr. 4 (z dn. 15 V b. r.), wyrzekłem się walki. Nadal też, choćby to brzmiało jak kapitulacja i przyznanie się do kalectwa intellektualnego, będę unikał tej walki. na spodziewane zaś w tym wypadku zapytanie p. Brauna „więc zgoda?", odpowiem formułą Trockiego: „Ani pokój ani wojna". Muszę to lojalnie i otwarcie wyjaśnić: nie trzeba myśleć, że nie rozumiem argumentacji J. Brauna, odwrotnie, śledząc za nią, rozumiem i podziwiam jej architektonikę; należę jednak do tego bardzo rozpowszechnionego typu człowieka, który nie ufa choćby najściślejszym spekulacjom, i który nie skoczy natychmiast z nowowynalezionym przyrządem w stumetrową przepaść, choćby wynalazca dowiódł mu matematycznie na podstawie najściślej ustalonych praw fizyki skuteczności swego wynalazku i gwarantował bezpieczeństwo: taki typ woli najpierw popatrzeć. Tak więc, dla mnie argumenty J. Brauna są przeważnie bez znaczenia, problematy rozstrzygane przez niego nie powstają przede mną, płaszczyzny, w których rozpatruje sztukę, nie są te, w których ja ją rozpatruję.

Pozostaje mi dać kilka wyjaśnień w tych kwestjach, w których na jednej płaszczyźnie spotykam się z J. Braunem. Jeśli przedewszystkiem oglądam dzieło literackie „z estetycznego punktu widzenia", to jednak ani jako krytyk nie jestem wyznawcą ortodoksyjnej „metody formalnej", ani nie usuwam poza obręb dzieła elementów treściowych ograniczając przeżycia estetyczne do elementarnych doznań zmysłowych, odwrotnie ubolewam, że w innych sztukach, np. w plastyce rozpanoszyła się szkodliwa, zabójcza nawet dla sztuki tendencja sprowadzania wszystkiego do zestawień barw czy geometrycznej symetrji form. Ani mi więc przyszło do głowy wydzielać monolog Hamleta z tragedji Szekspira, jako coś nienależącego do sztuki: przeżycia człowieka rozmyślającego nad wieczną zagadką śmierci są oczywiście i wzbogaceniem charakterystyki bohatera takiego, jakiego wymaga jego rola w sztuce, i nadaniem takiej pełni jego postaci, by mogła stać się jednym z najnieśmiertelniejszych przedstawicieli człowieczeństwa i pomnożeniem emocjonalnych, lirycznych walorów dramatu— inna rzecz, czy uważam dającą się z monologu wyabstrahować myśl filozoficzną za nową, oryginalną, wartościową, wytrzymującą krytykę naukową, stawiającą właściwie zagadnienie etc. Ani mi do głowy nigdy nie przyszło i nigdy nic takiego nie napisałem, żeby zalecać czytelnikowi Hamleta „apercypować tylko budowę zdań, prozodję, dźwięczność wyrazów i następstwo porównań i przenośni... a nie usiłować nawet rozumieć myśli Hamleta", więc też zastrzegam się przeciw imputowaniu mi tak ciasnego i oczywiście absurdalnego pojmowania „doznania estetycznego". Mało tego, nie zamykam oczu na wielkie znaczenie „ideologji" czy „filozofji" wielkich poetów, ze względu na suggestywną siłę ekspresji i popularność w znakomicie szerszych warstwach niż dzieła filozofów czy jakichkolwiek innych „prozaików" (w znaczeniu: proza jako przeciwstawienie poezji), na decydującą częstokroć rolę w zapanowywaniu pewnych haseł i doktryn, społecznych czy w najszerszem znaczeniu religijnych, szerzej jeszcze, w powstawaniu pewnego „stylu" epoki jako swoistego odczuwania świata i obowiązującej postawy moralnej. Dzieło literackie może być badane i od tej strony w szeroko pojętej historji literatury i wszechstronna systematyka jej sposobów podejścia nie pomija tej „energetycznej", jak niektórzy nazywają metody. Jest chyba jasne, że badania te służą raczej dziejom myśli społecznej, historji politycznej i t. d., zwłaszcza, że obok znakomitych dzieł artystycznych wielką rolę mogą odegrać utwory miernej wartości, małego znaczenia w historji literatury, pojętej jako sztuka. Jak z powyższego wynika wcale nie uważam mojego stosunku do literatury za jedynie dopuszczalny: najwyżej skłonny jestem traktować go jako pierwszy zkolei, a to ze względu na to, że służy narzędziem wyboru dzieł należących do literatury zpośród całokształtu utrwalonych na piśmie dzieł słowa ludzkiego. Pozatem, pro domo mea, dorzucę, że taki stosunek do literatury wcale nie określa danego człowieka, jako martwego, drewnianego pedanta - filologa: można osobiście być żywym, żwawym, pełnym człowiekiem, nie być obcym niczemu co ludzkie, interesować się życiem społeczeństwa i ludzkości, brać w niem czynny udział w pokoju, na wojnie, na samym froncie, w samem ognisku dziejącej się historji, a przecież nie żądać od poetów, by w tej febrycznej aktywności współuczestniczyli, owszem, podziwiać ich, celebrujących na uboczu swoje własne magiczne obrzędy.

Powinienbym pozatem, jak widzę, uwyraźnić swoje pojęcie „lirycznej jaźni" poety, czyli, szerzej, tego oblicza twórcy, które układa się w wyobraźni czytelnika przy poznawaniu jego dzieł, aby je móc zestawić z „transcendentalną jednią osobowości" poety według J. Brauna. Moje pojęcie „jaźni lirycznej" nie jest wcale rezultatem „rozpłatania żywego człowieka", raczej odwrotnie pewną nadbudową z życiowem obliczem poety jako człowieka, czasami mało mającą wspólnego, a przecież w pewnym sensie realniejszą i więcej mającą szans wierności niż jego „śmiertelna twarz". Pomnik z placu d'Alma jest istotniejszą, wierniejszą i napewno trwalszą podobizną Mickiewicza niż mozolnie konstruowane z dokumentów „życiowych" obrazy kobieciarza, światowca - oportunisty salonów moskiewskich czy sekciarza dość dziwnie ustosunkowanego do sprawy narodowej. Z powyższego wynika mój stosunek do „odbronzownictwa", ale nie wynika niemożliwość innej koncepcji Adama niż posąg Bourdelle'a.

W każdym razie nieskończenie większa trwałość i suggestywność „obrazu poety", niż dochowujących się poprzez przedział czasu rysów jego „prywatnej" biografji jako człowieka wyjaśnia w zupełności twierdzenie J. Brauna, że wielkim artystą ani myślicielem nie może być łotr, „zło upostaciowane"; że mogły być jedynie „wady, słabostki, upadki". Tak, w stosunku do istotnego, nieśmiertelnego oblicza artysty czy myśliciela, utworzonego w wyobraźni potomności na podstawie jego dzieła, wszystko naganne, przechowane w biografjach jest tylko akcydentalną „wadą", chwilą słabości czy upadku. Tak, wobec „lirycznego ja" jednego z najsubtelniejszych poetów świata Verlaine'a, który uwiecznotrwalił najzwiewniejsze, najwznioślejsze i najczystsze drgania duszy człowieczej, cóż znaczą jego grzechy ziemskie? „Kruchość natury ludzkiej, zwiotczenia duchowego, jakże częstego w atmosferze dekadenckiego snobizmu..." Ale wyobraźmy sobie, że Verlaine nie był poetą, tylko zwykłym panem Verlaine'm, którego sądzimy wyłącznie podług dokumentów jego życia (tak, jak je zebrał Fr. Porché), nie przełamując widzenia poprzez kryształ jego poezji: nietylko alkoholik i zboczeniec, potworny syn (wzdrygam się przed powtórzeniem tu niektórych makabrycznych scen z matką), potworny mąż, cudem tylko nie matkobójca i nie żonobójca, ale w dodatku tchórz i dezerter z frontu, urzędnik komuny ukrywający się potem przed odpowiedzialnością, pisarz eksploatujący literacko *równocześnie* „poryw ku świętości" i skłonności do pornografji; kara więzienia, którą odsiedział za dwukrotne premedytowane usiłowanie zabójstwa przyjaciela była karą tylko dlatego tak łagodną, że i świadek (matka) i poszkodowany starali się wybielić wbrew faktom zbrodniarza: w tym wypadku Rimbaud (zresztą nieprawdopodobny typ huligana raczej w stylu rosyjskim, może dlatego tak imponujący na gruncie francuskim — po dowody szczegółowe tej mojej charakterystyki odsyłam do wspomnianej książki Porché) w tym wypadku ujawnił wysoką dżentelmenerję. Ale czyż istnieje „absolutny" łotr, „upostaciowane zło"? Czyż mógłby być wygłoszony werdykt potępiający bez okoliczności łagodzących na kogokolwiek, przez kogoś ktoby jasnowidzącem okiem przejrzał duszę zbrodniarza, bodaj wampira z Düsseldorfu (który choćby mężną postawą w czasie procesu mógł wzbudzić sympatję)? Czyż wielki jasnowidz ciemnych zakątków duszy ludzkiej, Dostojewski nie był właśnie najpotężniejszym przedstawicielem „wszechprzebaczenia"? A poeta obywa się bez pomocy Dostojewskiego: on sam odsłania przed światem swą duszę, sam ukazuje jej treść ogólnoludzką, taką samą jak u każdego z nas mających go sądzić: czyż rzucimy weń kamieniem, sparaliżowani obróceniem naszego wewnętrznego wzroku we własne dusze pełne groźnych i ponurych możliwości?

Przerywając własne uniesienie liryczne, reasumuję: „zawistny kompromitacjonizm" odbronzowywania poetów na podstawie rewelacyj biograficznych nie może naruszyć ich obrazu zbudowanego na podstawie ich dzieła; obraz ten może być tylko przebudowany drogą innego ustosunkowania się do ich utworów, dlatego też akcję „odbronzowniczą" uważam za zupełnie obcą pożądanemu z mego stanowiska rewizjonizmowi; „solidaryzowanie się" (jak pisze p. J. Braun) moje z tą akcją ogranicza się tylko do tych wypadków gdzieby alarmy o świętokradztwo stały na przeszkodzie niezależnemu podejściu.

Notatka polemiczna p. A. Ł. C. napisana jest zupełnie w innym tonie niż artykuł redaktora „Zetu". Nie będę oczywiście obalał wyobrażeń p. A. Ł. C. o mnie, utworzonych na podstawie moich wystąpień krytycznych, jakkolwiek dalekie byłyby te wyobrażenia od realnej mojej postaci: nie wolno mi, jeśli mam być konsekwentny w wyrażonych poprzednio zasadach stosunku do pisarza. Pogardliwe insynuacje pozatem zasługiwałyby na obszerniejsze omówienie w rozprawie o wolności krytyki: stanowią one bowiem składniki tego systematu terrorystycznego, którym starała się obwarować zawsze licha sztuka i który znajduje po dziś dzień zastosowanie u t. zw. awangardy. Z przyjemnością natomiast znalazłem w artykuliku dobre streszczenie swojej rozprawki: miło jest mieć do czynienia z inteligentnym człowiekiem, choćby z góry było wiadomo, że odgrodzi go od nas jakaś niepokonana rozumowo fanatyczna wiara. W tym wypadku wiara w nieomylność sztuki i profetycznej mądrości Wyspiańskiego, którą w każdym wypadku uzgadnia się, jak biblję z nauką Darwina, w drodze przemyślnej interpretacji. Nie najszczęśliwszym jej przykładem jest tłumaczenie nazw laski Stańczyka: przypomina ono autokomentarz p. Brzękowskiego do „rybie sny wpływały przez otwarte usta" doskonale skrytykowany przez K. Irzykowskiego w Nr. 399 (52) „Pionu" („Zgiełk a ścisk t. zw. walorów"). Inne konstrukcje p. A. Ł. Cybulskiego są o wiele misterniejsze i harmonijniej wzniesione np. (nie w artykuliku, na który odpowiadam, lecz w innych artykułach w „Zecie") koncepcja szatańskiego Wernyhory, wywodzonego z pośmiertnych fragmentów „Beniowskiego" i ze „Snu srebrnego Salomei". W odniesieniu do Wernyhory z „Wesela" (dla którego tamto jest pracą przygotowawczą) ma tylko tę słabą stronę, że Wernyhora ten wzięty jest (jak dowodzą uwagi scenarjuszowe) z malowidła Matejki, ten zaś wspiera się na tradycyjnym obrazie wieszczego lirnika. Istnieje bowiem tradycyjny Wernyhora, którego przepowiednie odczytywała mi zanim wystawiono „Wesele" bona, półinteligentka, nie znająca zapewne Słowackiego. Ten legendarny Wernyhora istnieje niezależnie od tych czy innych koncepcyj Słowackiego, które można wydedukować z tak czy inaczej zestawionych ułamków rękopisów. Istnieje też tradycyjne rozumienie „Wesela"; dla p. A. Ł. C. jest ono dowodem bezmyślności powszechnej, bo sens dzieł Wyspiańskiego jest dla niego jasny i niedwuznaczny.

Dowodem jeszcze jednym inteligencji p. A. Ł. C. jest zręczne zaczepienie punktów słabych lub wątpliwych mojego artykułu. Rzeczywisty błąd, do którego muszę się ze wstydem przyznać, jest to umieszczenie pojawienia się starego wiarusa w końcu „Warszawianki" zamiast, jak jest w rzeczywistości, w środku sztuki. Błąd swoją drogą charakterystyczny. Popełniłem go, znając dramat z lektury i z teatru; nikt z czytających ten artykuł (a w redakcji „Drogi" entuzjastów Wyspiańskiego jest nie mało) na błąd ten uwagi nie zwrócił; oto dowód, jak na tle nudnego, martwego dziś tekstu jedyna żywa scena może się wydać w pamięci, z pewnej odległości— pointe'ą, którą umieszcza się z przyzwyczajenia na końcu. Drugi błąd mi wytknięty jest tylko niezręcznością mojej stylizacji: „odkrycie" „podówczas zapomnianej pieśni" nie miało znaczyć, że „Warszawianka" z 1831 r. była nieznana układającym zbiorki pieśni patrjotycznych: chciałem powiedzieć, że Wyspiański ją spopularyzował, czego dowodem, że dziś ona jest śpiewana wyłącznie ze zmianami tekstowemi, przez niego wprowadzonemi, a więc że przedtem już nie żyła w tradycji pieśniarskiej, że była „zapomniana" w tem znaczeniu jak dziś jest „zapomnianych" wiele pieśni legjonowych, choć i stary legjonista odśpiewa je w razie potrzeby i w zbiorkach mają miejsce, jak „zapomniana" jest dziś stara melodja „Jak to na wojence ładnie", choć zna ją każdy, śpiewając przecież na inną (brzydką i bezsensowną) nutę.

Trzeci wreszcie wytknięty mi błąd to są właśnie tytułowi „Konni Czwartacy". Tu, mimo dowcipną interpretację tekstu p. A. Ł. C. podtrzymuję swoje twierdzenie. Że „Anna wybiega" to zrozumiałe: z ganku lepiej widać całość pochodu niż przez okno. Ale „pułk czwarty" widać już przez okno („wskazując okno") to widać z tekstu; właściwością zaś utworu dramatycznego jest współdziałanie słowa ze scenicznym obrazem. Jeżeli mówi się „pułk czwarty" i jednocześnie ukazuje się wojsko, to dla widza jest to właśnie pułk czwarty, tak jak gdy ktoś na scenie powie „groźba niebios" i jednocześnie rozlegnie się grom, to widz jest obowiązany te rzeczy połączyć ze sobą, a nie odnosić słów do czegoś pokazanego później lub przedtem. Cała sprawa jest drobnostką, ale wydała mi się ona charakterystyczna dla wzgardy Wyspiańskiego dla realizmu, tak jak pomysłowa interpretacja p. A. Ł. C. jest charakterystyczną dla stosunku większości naszej krytyki do jego dzieł.

K. W. Zawodziński.

Katechizm a filozofja

Piotr Kardynał Gaspari. Katechizm katolicki. Z polecenia Jego Eminencji X. Dr. Augusta kard. Hlonda, prymasa Polski, z IV wydania łacińskiego przetłumaczył X. Jan Korzonkiewicz. XIX + 487 str. Nakładem księgarni Świętego Wojciecha. Poznań.

Nasze katolickie społeczeństwo jest nieomal zupełnie nieświadome doktrynalnej strony katolicyzmu. Jak we wszystkiem innem, tak i tutaj, w znakomitej większości kierujemy się samem tylko uczuciem. Dobrze się więc stało, że wydano dzieło, które w jednym sutym tomie zawiera cały główny zrąb nauki katolickiej. Mamy tu obszerny, przez Stolicę Apostolską zatwierdzony, katechizm, a co dla badacza szczególnie zajmujące — mamy też przytoczenie wszystkich tradycyjnych źródeł, na których powadze katechizm ten się opiera. Toteż po uważnem przeczytaniu tej księgi, możemy sobie wyrobić dostateczne pojęcie o rozwoju i ostatecznej postaci nauki katolickiej.

Pismo nasze, poświęcone szerzeniu pewnej określonej doktryny filozoficznej, również i religją zajmuje się głównie z punktu widzenia jej stosunku do filozofji. Otóż po przestudjowaniu będącego w mowie dzieła, utwierdzamy się w przekonaniu, któremu już nieraz dawaliśmy wyraz, że mianowicie Chrześcijaństwo jest religją wybitnie rozumową. (W poniższych cytatach wszystkie spacje pochodzą ode mnie). Już w samem określeniu idei Boga, rozum jest wysunięty na czoło:

„Przez słowo Bóg rozumiem ducha najczystszego... co do r o z u m u i woli..." *(Pytanie 35).*

Definicja człowieka brzmi:

„Człowiek jest to stworzenie, składające się z duszy r o z u m n e j i ciała ograniczonego". *(Pyt. 59).* — „Dusza r o z u m n a jest to byt duchowy, obdarzony r o z u m e m i wolną wolą i nieśmiertelny, który z ciałem tak jest zjednoczony w jedną istotę, że jest w człowieku pierwiastkiem wszelkiego życia". *(Pyt. 60).* — „Bóg stworzył człowieka w tym celu, żeby człowiek p o z n a ł Boga..." *(Pyt. 61).* — „...R o z u m e m i wolną wolą człowiek w osobliwy sposób naśladuje naturę Bożą..." *(Pyt. 66).*

Wśród głównych cnót obyczajowych znowuż na pierwsze miejsce wysuwa się cnota intellektualna, mianowicie r o z t r o p n o ś ć. *(Pyt. 540).* Na siedem darów Ducha Świętego, mamy aż cztery, dotyczące umysłu: m ą d r o ś ć, r o z u m, r a d ę, u m i e j ę t n o ś ć. *(Pyt. 544).*

Nader ciekawe jest wyjaśnienie, tyle nieporozumień budzącej nazwy „ubodzy duchem":

„Ubodzy duchem. nazwani błogosławionymi, są to ci, co się w duszy odrywają od dóbr zewnętrznych, zwłaszcza od bogactw i zaszczytów..." *(Pyt. 550).* Tak tedy, bynajmniej nie chodzi tu o ubóstwo samegoż ducha.

Św. Jan Damasceński tak mówi o intellekcie: „U m y s ł zaś nie jest niczem innem jeno najistotniejszą jej (duszy) częścią: czem bowiem oczy są w ciele, tem u m y s ł jest w duszy".

Św. Efrem mówi o człowieku, że „otrzymał r o z u m i m ą d r o ś ć dzięki której p o j m u j e on wszystkie rzeczy, rozkłada i układa i tym sposobem rozwija się na wszystkie strony i tworzy obraz każdej rzeczy tak dalece, że zdaje się, jakby sam w sobie jednym mieścił wszystko".

Przyrodzonemu rozumowi ludzkiemu przypisuje się wysoką samorzutność: „Przyrodzonem światłem rozumu, wnioskując ze stworzeń o stwórcy, ze skutku o przyczynie, z rzeczy stworzonych możemy napewno poznać i udowodnić Boga..." *(Pyt. 12).* Pod kątem uznania tej samorzutności, tej autonomji rozumu ludzkiego, wielce znamienne są słowa Św. Efrema Syryjskiego: „Albowiem każdy karci sługi swoje, żeby sam był ich panem; dobry Bóg natomiast karci sługi swoje, ż e b y o n i s o b i e b y l i p a n a m i".

O stosunku wiary do rozumu czytamy: „Wiara, choć przewyższa rozum, w żaden sposób nie jest przeciwna rozumowi, ani też między wiarą a rozumem nigdy nie może zachodzić żadna sprzeczność... ponieważ ten sam Bóg, który objawia tajemnice i wlewa wiarę, dał duszy ludzkiej światło r o z u m u..." *(Pyt. 517, 518).*

Ogromnie dużo daje do myślenia takie upodobnienie Trójcy Świętej (Św. Efrem): „Ojciec umysł, Syn słowo, Duch głos: trzy nazwy, jedna wola, jedna moc". Zastanówmy się nad głębokością tych słów. Gdy wymawiamy jakikolwiek wyraz, tem samem ucieleśniamy niejako, nadajemy byt samodzielny pewnej naszej wiedzy — i wówczas naprawdę myśl, ucieleśnione słowo, oraz pośredniczący między niemi głos stanowią doskonałą i nierozerwalną jednię.

Nieraz oskarża się chrześcijaństwo o pewną oschłość, brak współczucia i zrozumienia względem zwierząt; toteż z radością czytamy nast. komentarz kard. Gasparriego: „Dla tego nie nadużywaj, o chrześcijaninie, zwierząt, lecz używaj ich należycie; gdybyś je bez celu i bez żadnego powodu dręczył i pastwił się nad niemi, działałbyś wbrew tej łagodności, która przystoi wprawdzie każdemu człowiekowi, najbardziej jednak chrześcijaninowi".

Książka zaleca się także bardzo dobrym przekładem i nienaganną korektą.

C. J-K.

ANTONI MADEJ

Kołysanka matki

1. Włosy dłonią otulam
i zbieram blask z ust rozchylonych,
i każde zamknięcie powiek
znam,
i każdy warg twych przyspieszony
szept łowię,
o synku mój!

2. Na zachodzie bure niebo gaśnie,
mrok się czai tajemny i zły,
rosa kwiaty omywa, jak łzy,
...zaśnijże mi, mój mały, zaśnij...

Czy znasz, synku, tę prawdę bolesną,
która smaga i siecze, jak pręt:
takim ziemia, jak my, jest nierada,
takim świat jest, jak drapieżny sęp!

3. Którędy pójdę,
dokąd cię zaniosę,
gdzie zachowam
i uchronię?

Czerwona krew. Krwi morze.
Bagnetów las.
O synku, nas
z gwiazd,
z ziemi i przestworzy
wyszczują ludzie - psy,
zgonią
wyżły kul,
warcząc i żrąc.

Zadużo męki w każdej nocy,
zadużo bólu w dniach.
W kościołach — kłam,
w domach ciężko od przemocy.

4. Na zachodzie bure niebo gaśnie,
mrok się czai tajemny i zły,
rosa kwiaty omywa, jak łzy,
...zaśnijże mi, mój mały, zaśnij...

Czy znasz, synku, tę prawdę bolesną,
która smaga i siecze, jak pręt:
czyha na nas tu śmierć i przypadek,
zło koluje nad nami, jak sęp!

5. Jakąż namaszczę cię maścią siły,
jakąż zbroję ci dam niezłomną,
szczeniątko moje, malutki synku miły,
kochanie me ogromne?

Los, którego nie wymierzę,
czas, którego nie powstrzymam,
przewala się i szumi
okrucieństw bezbrzeżem.
I czem pocieszyć cię mogę,
czem natchnąć i jak błogosławić,
gdy słowa męstwa nawet
serce me krwawią?

6. Na zachodzie bure niebo gaśnie,
mrok się czai tajemny i zły,
rosa kwiaty omywa, jak łzy,
...zaśnijże mi, mój mały, zaśnij...

Czy znasz, synku, tę prawdę bolesną,
która smaga i siecze, jak pręt:
smutek wlecze się za nami blady,
wieje groza, lęk spada, jak sęp!

7. O mój chłopcze,
drobne piąstki do twarzy mej przytul,
niechaj w tchnieniu mych ust wzrosną i zmężnieją,
niechaj mocne, jak stal, się staną,
by Jutro, w niepojęte rano,
w zawierusze dziejów
— krzepkie i piorunowe —
wytknęły światu
tory prawidłowe.

8. Na zachodzie bure niebo gaśnie..
...zaśnijże mi, mój mały, zaśnij...

JERZY BRAUN

Mówią, że Wenus...

Mówią, że Wenus: iglasty kryształ zarania,
upadła tam, oderwana bezdźwięcznie od próżni.
Że znagła rozpryśnięta o glob rozplusła się w płyn srebrno-szklany.
Daleki, obcy astral leży tam w oprawie łąk idyllicznych,
gdzie na deseniach zieleni białe stada na Ave dzwonią,
i pasterz uśpiony wonią przyrody w malowniczej pozie przyklęka.

Mówią, że oko człowieka, który zatęsknił w Nieznane
oko człowieka, który chciał być koniecznie Aniołem
wzgardziło raz prawem perspektyw i poprostu zajrzało wgłąb siebie.
I tam była właśnie toń gładka i cicha
lustrzanym poddana sposobem słońcu, które oślepia,
więc kto wprost w słońce nie śmie i nie umie spoglądać,
ten je rozłamane na tysiąc szkło-odbić w jeziorze owem odszuka.

Mówią też, że tam graniczą ze sobą dwa światy,
że gdzie drogi już niema, tamtędy można dopłynąć.
że ludzie, drzewa i gwiazdy, wszystko tam odwrócone,
głową na dół, jak w oku dziecka co jeszcze widzi prawdziwie.
że przeto ten nowy gród, o którym Jan święty śpiewa,
o bramach z łez perłowych, z gron opalowych i z jaspisów,
którego trwożny lud zwykł był szukać nad obłokami,
oddawna już przysposobion jak złota pełnia miesięczna
na dnie spoczywa, oddechając skrzydłami Aniołów,
jak wielka, milcząca ryba skrzelami wachlująca wodę.

Tam więc szedłem, gdy zawiódł poziom lądu
i gdy gór — o piramidzie pięter — zawiodła Jakóbowa drabina.

Dość wędrówek po pylnych gościńcach, odejdź India z miseczką żebraczą.
Nie będę już pielgrzymował po urwistych serpentynach Nipponu,
gdzie pusty dzwon powietrza znienacka u stóp się otwiera
i dźwięk oddaje sercu jak grom i jak wzniosłość spiżowy.

Zatęskniłem do bladej ciszy.
Upiły mnie witrażowe kolory,
ciepłemi sokami barw nasycone wypukło szyby.
O żółć. O czerwień. O siedmioraka zieleni.
Trzeba mi teraz o was wiosło me giąć i zahaczać.
Trzeba mi z waszych bezden wypluskiwać nadludzkie pieśni,
z których każda jak paw się pierzy, jak chimera krzyczy i pląsa,
jak łódź na pomost podniebny rozwichrzonych fal się wspina.
Trzeba mi płynąć w tył starym żeglarskim stylem
nie widząc ani gdzie cel, ani gdzie lampy przystani.
Obłąkać się w rozchwiejnych, porozsnuwanych pierścieniach,
nawleczonych na nici długich, wichrowych poświstów.

Trzeba mi runąć w kołys, wykołysać kolebkę Słowa,
w żłób ją ociosać żłobiony, w samotne, zwrotne czółno,
i chyląc grzbiet pod szkwał i pod spiekotę południa
osadzać bukowy dziób ze zgrzytem na wysp mieliznach,
w żagiel opięte drewno póty zanurzać i zmydlać,
póty pod trzciną masztu stać i zwrotami się kłaniać,
aż srebrnym heblem fal zokrąglona, wygładzona głowa
sama jedna starczy za glob, jak planetarna kula.

Więc w samość spełniony zamkniętą, unoszony na wzgórzach wód,
inności zakosztuję, od tamtych dni dalekiej.
Różnoimienne kształty popłyną, jak chór przezemnie,
złudność swoją śpiewając, jak Metamorfoz łańcuchy.
I będą iść monotonnie, wciąż, grzebień po grzebieniu,
nigdy też-same, a zawsze powrotne formami,
nęcąc i głaszcząc wzrok niewysłowioną słodyczą.
Aż poznam błogość chwili, co się w wieczne teraz rozciąga,
co już rozpierzchłem wczoraj ani jutrem nawisłem nie kłamie.

W to wieczne Dziś tak piękne, że się Bogu podoba samo,
przemycę moje czółno uskrzydlone wioseł parą.
Nurknę w wąskie cieśniny pomiędzy wysp krawędzie.
Słuchać będę wiekuistego szumu nawrotów,
jak mnóstwa rąk klaszczących nad dziełem Poety.
Zaklęty w muszlę jeziora dać będę w żagiel zachwytu.
co gardło jak strunę napina na strój najwyższy, natchniony.
Aż wzejdzie Wielki Niemowa, niedosiężny cel wszystkich języków
i rozbije jak dzban formę świata niedość dojrzałą.
I wybuchnie, wytryśnie strugą żywego, źródlanego kryształu.

Nad promienisty astral rozpłynięty w gwiazdę jeziora
wygłos wtedy zabrzmi ogromny, w akordową rozpięty figurę
i stanie się ta Postać, dla której formy one poginą.

Bo tam, gdzie żywie Pan, już się ostać nie zdoła litera,
ani nie dotrwa duch do ostatecznej godziny.

Sam, zestrojony w blask, w jeden organ zwycięskiej pieśni
zstąpi na kapryśną szalupę, odbijając na zawsze z przystani.

Przez ognistą kratę z błyskawic, łamiących zygzaki o wiatr
tęcza się nowa przewlecze, kolorowej piękności przymierze.

Jak gloria in excelsis strzelista piramida aniołów.
W zenicie On, ku Niemu wszystkość zdąża.
Na palcach wspięte błędne serpentyny dróg.
Kolczaste ciernie.
Miasta grobów w szpalerach cyprysów.

W dole ryk wód, zgniłozielone wały
fosforyczny brzask odrzucają splendorom słonecznym.
Tło granatowo-sine. Syczą węże z pomiędzy pian.
Jeruzalemska łódź światłość wioząca na wiosłach
coraz zapada w czeluście, w wielorybie paszcze bałwanów.

Aż On przemówił Słowo.

I stała się cisza jak lód. Szklana i biała.

Nieruchomy trójkąt żagla dał świadectwo Trójcy w Jedynym.

Jezioro stało się niebem,
a ziemia okrętemBożym.

Bądź wola Twoja, jako w niebie tak i na ziemi...

— — — — — — — — — — —

Mówią, że Wenus...

Zabójczy objektywizm!

Tytuł wygląda na paradoks. Użyłem jednak słów tak jaskrawych, aby podkreślić grubą linją ważność problemu. Chciałem zwrócić uwagę czytelników na głębszy sens metafizyczny i historyczny tej antynomji: subjektywizm - objektywizm.

Na czem polega postawa „objektywna" wobec rzeczywistości? Jaka jest jej interpretacja potoczna, a czem ona jest w istocie? Jakie są źródła genetyczne i jakie są następstwa nieuniknione tej postawy? W czem jej szkodliwość i w jakiej mierze jest ona dozwolona? Rozpatrzmy te pytania.

W potocznem rozumieniu objektywizm to umiar, powaga, sumienność oceny, zdrowy rozsądek; subjektywizm natomiast utożsamiamy zazwyczaj z dowolnością, emocjonalizmem, nietolerancją w stosunku do cudzych poglądów. Subjektywista osądza jakoby wszystko podług chwilowych nastrojów, stąd wnioski i koncepcje jego muszą być chimeryczne, dowolnie wyimaginowane, od rzeczywistości oderwane. Pod tą kategorję subjektywizmu podciąga się nawet myślicieli konstruujących swe systemy pojęć a priori, wysnuwających je z samych racyj dostatecznych rozumu; cytuje się tu notorycznie Hegla z jego słynnem: „Tem gorzej dla faktów!" Także pogardliwe miano: „doktryner" nadaje się często ludziom o postawie subjektywnej, usiłującym dopasować świat do idej i koncepcyj własnego, podmiotowego rozumu, za cnotę uważa się bowiem przystosowywanie rozumu ludzkiego do danych bytu, a nie naodwrót.

Stereotypowy, modny dziś objektywizm prowadzi jednak wistocie do zupełnego indyferentyzmu wobec prawdy, tego charakterystycznego indyferentyzmu, jakim przesiąkła cała umysłowość współczesna, a którego rezultatem jest rozpętanie się najdzikszego irracjonalizmu w życiu społecznem i politycznem. Umysł Europy został przez ten fatalny objektywizm kompletnie sparaliżowany, wskutek czego wymknęło mu się kierownictwo nad życiem, które odtąd hula sobie jak chce, bez żadnych cugli.

Człowiek objektywny zachowuje się tak jakby prawda była wszędzie, a jednocześnie nigdzie. Do dobrego tonu „objektywnych" należy przyznać rację częściową i temu i tamtemu, i to nie w stosunku do jakiegoś absolutnie pewnego, wyższego układu odniesienia, będącego bezwzględnem kryterjum (jak całość jest kryterium dla poszczególnych jej części składowych), lecz w stosunku do samej zasady objektywizmu, która w ten sposób staje się sama dla siebie celem. W krytyce „objektywny" nie posuwa się nigdy do superlatywów, i wyszukuje zawsze jakieś contra, bo „przecież trzeba koniecznie coś zganić", jeżeli sąd ma być objektywny. W religji „objektywny" kwestjonuje normę moralną, bo przecież wszystko zależy od okoliczności, oraz od warunków czasu i miejsca; w jednym wypadku — powiadają — coś jest złe, w drugim to samo uznać należy za dobre, a względność tę potwierdza historja, ze swoją różnorodnością obyczajów i norm moralnych dla różnych epok i ludów. Do najgorszych rezultatów prowadzi objektywizm w filozofji. Umysł wytresowany w tym sposobie myślenia, uważa, że „nie wypada" przyjmować istnienia prawd bezwarunkowych. Istny paradoks: „objektywny" bierze tu za kryterjum absolutny subjektywizm myśli ludzkiej. Powiada się tak: były i będą rozmaite subjektywne poglądy; rzeczą nauki jest poglądy te znać i zaszufladkować. Historja filozofji przestaje tu być sobą, to jest: filozofją filozofji, a staje się — na wzór nauk przyrodniczych — objektywnym opisem tego, co sobie dowolnie gdzieś tam w Grecji, w średniowieczu, czy w Niemczech obmyślano (czy nawet zmyślano!). Nowy system filozoficzny rejestruje „objektywny" jako „jeszcze jeden pogląd". Głowa takiego jegomościa zmienia się w stos bezużytecznych rupieci, w kupę wiadomości, gromadzonych i udzielanych innym niewiadomo w jakim celu.

W praktyce prowadzi to — jak zaznaczyłem — do najdzikszego irracjonalizmu. Jakkolwiek bowiem umysł twierdzi, że nie istnieje prawda, dobro i piękno, i że wszystko jest względne wobec tej jedynej normy, jaką jest nieznany jakiś świat przedmiotowy: fakt, konieczność biologiczna, podświadomy motyw psychiczny, — życie musi iść naprzód, myśl musi dokonywać wyboru i wola musi działać. Masy, wzgardziwszy filozofją i wogóle normami wyrozumowanemi, idą za ciemnym instynktem, za ślepą demagogją, za bezsensownemi pseudo - doktrynami społecznemi, za apostołami histerji. I trudno się temu dziwić, skoro rozum sam się wycofał z kierowniczego stanowiska, przyznając, że nie istnieją dlań żadne racje dostateczne decyzyj i rozstrzygnięć. Auto-destrukcja rozumu wyzwala chaos. I do tego prowadzi ów modny relatywistyczno - sceptyczny objektywizm.

Jest jedna dziedzina, w której objektywizm jest a priori uzasadniony i spełnia pożyteczną rolę; dziedziną tą jest nauka w jej rdzennej funkcji poznawczej, to jest dyscyplina, mająca za zadanie dokładny, adekwatny opis *bytu*, tego co już istnieje i może być namacalnie, empirycznie stwierdzone. Wszędzie, gdzie pytamy: co? i: jak?, musimy być objektywni; tam natomiast, gdzie pytamy o rację (dlaczego?), opuszczamy już dziedzinę faktów i snuć musimy z siebie, co jest właśnie rdzenną funkcją wnioskującego rozumu. Tam idzie o opis danych przedmiotowych, tu, przeciwnie, przychodzi do głosu podmiot, ze swoją twórczą produktywnością racyj dostatecznych, przyczyn i celów; w tej zaś dziedzinie subjektywizm jest jedyną skuteczną metodą, dającą szanse zdobycia prawdy. Albo bowiem przyroda zbudowana jest racjonalnie, na wzór norm apriorycznych rozumu, albo też rzeczywistość jest irracjonalna, a wtedy wszystko upada, bo nigdy nie będzie ona mogła być poznaną. Jeżeli jest irracjonalna, to nauka wykaże to sama, dochodząc wreszcie — po długim okresie iluzyj o jakichś objektywnych prawach bytu — do samozniszczenia; świat bowiem dziejący się dowolnie, indeterministyczny, ani się nie da opisać (bo rozpada się na odmęt biljonów faktów, przypadków i możliwości), ani się nie da sprawdzić, bo nie jest powiązany w łańcuch przyczyn i skutków. Ponieważ zaś prawda i pewność jest jedynym celem nauk, zaś zasada przyczynowości jedyną ich podstawą, nauki musiałyby wówczas zniknąć z powierzchni ziemi. Jeżeli natomiast wszechświat jest w istocie swej racjonalny, to aby dotrzeć do jego najwyższego: dlaczego? wystarczy dać się ujawnić pierwotnym, źródłowym normom rozumu, one bowiem będą w sobie mieścić zarazem ostateczny, podstawowy szkielet wszelkiej rzeczywistości. Na tę też drogę pchnął filozofję Kant, każąc jej penetrować przedewszystkiem intymne wnętrze rozumu, dla wydobycia stamtąd jego warunków granicznych, naczelnych (postawa epistemologiczna, teorja poznania).

Jest jeszcze jedna dziedzina, w której ma swoje uzasadnienie objektywizm, a mianowicie teologja, która jest — w samej swej strukturze — dyscypliną dogmatyczną, t. j. mającą swój warunek nie w sobie lecz poza sobą, w rzeczywistości uprzednio danej, do której musi się ona przystosować. W teologji ważne są te tylko prawdy, którą dadzą się uzgodnić z danemi przedmiotowemi Pisma św., z objawieniem. Tak więc, jak nauka ma swój układ odniesienia w doświadczeniu, w faktach empirycznie stwierdzanych, które obalą każdą hypotezę fałszywą, tak znowuż teologja ma swój układ odniesienia w systemie prawd objawionych, których umiejętna analiza zawsze skoryguje fałszywą ich interpretację (egzegezę). Różnica między nauką a teologją polega na tem, że pierwsza ma za zadanie opis przyrody, druga zaś wykład ksiąg świętych. Objektywizm naukowy — to empiryzm. objektywizm teologiczny — to dogmatyzm. Filozofja nie może być ani empiryczną, ani dogmatyczną nie ma ona bowiem poza sobą żadnego układu odniesienia, przedmiot jej nie istnieje uprzednio, lecz ma być dopiero przez nią samą wytworzony w postaci systemu racyj dostatecznych, wyprowadzonych z samej struktury wnętrznej rozumu, a wyjaśniających bez reszty rzeczywistość, jako istniejącą i powstającą *sama przez się* (absolut).

Od czasu kantowskiej metody krytycznej objektywizm zostaje wyparty poza orbitę metafizyki (i wszelkiego filozofowania), jeżeli zaś pojawia się on jeszcze i dziś w różnych systemach, to możemy je zakwalifikować bez wahania do przestarzałej metafizyki przedkantowskiej, bez względu na to, czy przeważają w nich tendencje empiryczne, czy dogmatyczne. Filozofja jest to myśl czysta, wyzwolona od wszelkiego warunku objektywnego: to oto kryterjum negatywne jest olbrzymią zdobyczą kantowskiej rewolucji teorjopoznawczej (kryterjum pozytywnego prawdy krytycyzm kantowski nie daje natomiast wcale).

Z chwilą wyraźnego rozgraniczenia filozofji od nauk, wiemy już, gdzie objektywizm jest pożyteczny i dozwolony, a gdzie szkodliwy i wykluczony. W filozofji (podobnie jak w historji filozofji) objektywizm byłby uzasadniony tylko wtedy, gdyby został już przez nią stworzony jej właściwy przedmiot: prawda absolutna; wówczas posiadłaby i ona swój uniwersalny układ odniesienia, korygujący wszystkie błędy z równą precyzją i naocznością, jak się to dzieje w matematyce, tej królowej nauk, posiadającej swój objektywny układ odniesienia w postaci czystych intuicyj czasu i przestrzeni. Dopóki to nie nastąpi, filozofja winna rzucać się niejako głową w otchłań niewiadomego, śmiało idąc w labirynt problemów metafizycznych za nicią Arjadny samoujmującego się rozumu, czyli refleksji spekulatywnej, powstającej przez odbicie się wiedzy na samej sobie.

Jeżeli jednak filozofja, wzięta w swej funkcji rdzennej (= wiedza o wiedzy, w przeciwieństwie do wiedzy o bycie), zaczyna się dopiero od Kanta, to czemże jest rozwój samorzutności spekulatywnej od czasów greckich aż po wiek XVIII-ty, rozwój będący wszak przedmiotem każdej historji filozofji? Przecież okresu tego — choćby nawet był on tylko okresem przygotowawczym — nie można pominąć. W samej rzeczy rozwój ten należy do historji filozofji, jako stopniowe stwarzanie się właściwego przedmiotu filozofji, przez postępowe odłączanie, abstrahowanie tego przedmiotu, naprzód od nauk (dyscyplin empirycznych), a potem od teologji (dyscypliny dogmatycznej). Widzimy, że w Grecji, a później i w czasach Odrodzenia, fizjologja miesza się z naukami, tak, że nie można jednej od drugich odróżnić. Powoli następuje jednak rozbiegunowanie, polaryzacja tych dwu dziedzin, przez wydzielenie się nauk o przyrodzie, o bycie immamentnym, naprzód w Grecji: przez utworzenie wyobrażenia objektywnego środowiska kosmicznego *in concreto*, a potem, w czasach nowożytnych, przez utworzenie tegoż samego wyobrażenia *in abstracto*. Podobnie, miesza się zrazu filozofja z teologją, jako wiedzą o świecie moralnym i jego prawach, czyli o bycie transcendentnym wogóle. I znowuż powoli dokonuje się rozdział tych dwu dziedzin, naprzód w starożytności przez powstanie teologji naturalnej, t. j. wyobrażenia o objektywnym świecie moralnym in concreto (prawodawstwa boże, teokracje, a później greckie systemy moralne: sokratyzm, cyrenaicy, epikurejczycy, stoicy), następnie zaś przez powstanie teologji spekulatywnej, chrześcijańskiej, opartej na objawieniu Chrystusa. W ten sposób w ciągu tych trzech tysięcy lat, filozofja, jako dyscyplina całkowicie autonomiczna, odrębna, w istocie swej nawskroś subjektywna i twórcza, dochodzi do samouświadomienia.

Nieustający spór o kompetencję poznawczą i o walor autonomiczny filozofji, wynika z niezrozumienia tych notorycznych różnic; trzeba mieć umysł naprawdę „filozoficzny" (w pełnem tego słowa znaczeniu), żeby różnice te uchwycić i wyznaczyć dokładnie. Stąd idjotyczne interpretacje filozofji i jej roli ze strony erudytów pseudofilozoficznych, którzy, całe życie tkwiąc w tym przedmiocie, nie wiedzą jednak o co w nim chodzi, są to bowiem ludzie o nastawieniu objektywnem, mającem sens tylko w odniesieniu do nauk.

Filozofja jest samouprawą samorzutności stwórczej rozumu, jest samostwarzaniem. Przedmiotu jej: prawdy absolutnej, nie można poznać, bo nie ma go wcale w świecie *danych;* trzeba go dopiero stworzyć. Filozofowanie jest mozolnem wznoszeniem wieży pojęć i idej, samorzutnie przez umysł wyprodukowanych, a tak uwspółzależnionych, że bez jednych nie mogą powstać drugie, tak jak szczyt wieży nie może powstać bez niższych pięter, które go podtrzymują. Dlatego-to filozofji nauczyć się nie można, podczas gdy dyscypliny opisowe wpoić można każdemu zdolnemu do skupienia uwagi osobnikowi przez proste, mechaniczne pouczanie. W nauce wie się, gdy się zapamiętało, co jest i jak jest. W filozofji nie wie się nic, dopóki się samemu nie stworzyło tych pojęć i idej, które mają być poznane.

Zrozumiałem jest, że na powstanie maniery objektywizmu wpłynął w dużej mierze charakter epoki współczesnej, w której wytworzył się typ *kultury* empirystycznej, materjalistycznej, scjentyficznej. Europa drugiej połowy XIX-go i pierwszych dziesięcioleci XX-go wieku, ubóstwia fakt, nauki przyrodnicze, cywilizację techniki maszynowej. Cały jej rozpęd idzie na zewnątrz, ku światu przedmiotowemu, filozofja jest lekceważona, twórczość subjektywna rozumu zostaje zahamowana niemal zupełnie. Objektywizm jest chorobą „ducha czasu", podobnie jak sceptycyzm, skrajny immanentyzm, relatywizm.

Modnem jest dzisiaj mówić o zgodności z faktami; tymczasem fakt jest to jakby atom osobny wszechświata fizycznego, całkowicie irracjonalny, przypadkowy, z niczem niepowiązany, dopóki go rozum według swych własnych norm nie zinterpretuje i nie zdeterminuje. Oczywistem jest tedy, że owa wysławiana „zgodność z faktami" rzuca nas w odmęt kompletnej dowolności, przyznając jej w dodatku wyższość nad racjami rozumu. Tak więc myślenie przedmiotowe o rzeczywistości daje w rezultacie chaos.

Tak samo, jak w sferze teorji, ma się rzecz i w praktyce. Objektywizm polityczny n. p., radykalnie stosowany, prowadzi do chaosu społecznego, gdyż wymaga uzgadniania apriorycznych decyzyj woli z miljonem sprzecznych opinij obywateli, tych atomów świata politycznego, w krwawo odpokutowanej dziś iluzji, że prawda jest po stronie większości; tymczasem większość myśli i czuje zmiennie, jak chorągiewka na dachu, i gdyby mniejszość, lub nawet jednostka nie wprowadzała ciągłości swej myśli i woli, społeczeństwo, państwo i cała rzeczywistość polityczna przeistoczyłaby się w absurd samozniszczenia.

Postawa objektywna dowodzi martwoty osobnika, jego niemocy twórczej. Wynika ona ze złudzenia, że życie nasze wspiera się na czemś przedmiotowo trwałem, że życie jest jakimś danym nam zzewnątrz „układem odniesienia". Tymczasem życie, jako łańcuch celowych działań, a nawet jako biologiczny wysiłek, jest własnem naszem dziełem i od nas zależy, jak je chcemy i potrafimy przeżyć. Życie nie jest przedmiotem, lecz szeregiem aktów subjektywnych naszego Ja. Właśnie brak przedmiotowości absolutnej, pchający nas do ustawicznych wytężeń i działań, jest wewnętrznym motorem fenomenu życia. Biologicznie istniejemy, dzięki podświadomemu przeświadczeniu, że poza chwilą obecną jest nicość, że przyszłość jest próżnią, którą dopiero nasz wysiłek utrzymania się w bycie *ma zapełnić*. Życie rozumne, opanowane, humanistycznie pojęte, jako wytwarzanie kultury, jest również rezultatem braku w nas rzeczywistości (przedmiotowości) absolutnej, który świadomie dostrzegamy, i który usiłujemy usunąć przez stawianie sobie coraz nowych, coraz wyższych celów, i przez dążenie do ich osiągnięcia. Filozofja, religja, sztuka, są to trzy najdoskonalsze sposoby (metody, dyscypliny) wydobywania z nas tej nieistniejącej jeszcze przedmiotowości, przez uprawę siły twórczej, nawskroś podmiotowej, która ma dopiero urzeczywistnić to *co być powinno*. Tak więc postawa objektywna jest organicznie sprzeczna z warunkami genetycznemi i właściwemi zadaniami filozofji, religji i sztuki (odróżniam tu oczywiście religję od teologji, religja bowiem jest metodą życia wewnętrznego, mającą wieść do nadania sobie nieśmiertelności osobowej).

Bezwład myśli i wyobraźni, potrzeba podpory zzewnątrz, przeżytkowa koncepcja rzeczywistości, jako czegoś „gotowego, zastanego" (w terminologji Brzozowskiego), oto źródła objektywizmu, tej dekadenckiej maniery starego świata. Trzeba go zwalczać, inaczej bowiem, na miejsce sparaliżowanego rozumu, wciśnie się ślepy instynkt, zwierzęcy popęd, histerja. Trzeba go zwalczać subjektywizmem, lecz nie tym potocznym subjektywizmem uczuć i kaprysu, lecz wolnym, twórczym, racjonalnie uregulowanym subjektywizmem rozumu.

Jerzy Braun.

Krytyka rozumu twórczego (8)

Natężność transcendentalna podmiotu tworzącego, którą nazwaliśmy Religją Objawioną, jest aktem samostwórczym wiedzy, ustanawiającym w niej powinność przejścia od heteronomji woli do autonomji woli, dla odrodzenia w sobie potęgi genetycznej, t. j. samorzutności stwórczej, nie paraliżowanej przez bezwład naszego „ja" empirycznego, oraz funkcjonującej sama przez się, bez oparcia o zjaw chrematyczny wszechświata w Bogu. Autonomja absolutna woli jest więc ideałem granicznym Religji Objawionej; dlatego kult wcielonego Słowa (= Wiedzy samej w sobie urzeczywistnionej w Człowieku) jest jej koniecznym atrybutem. Religja Absolutna natomiast, jako natężność transcendentalna podmiotu, wzniesionego całkowicie ponad porządek kosmiczny i wysnuwającego z siebie samorzutnie zjaw achrematyczny zupełnej totalności zasad i problematów Wiedzy samej w sobie, ustanawia w nim wolną powinność przejścia powrotnego od autonomji do heteronomji (= mesjaniczność czysta), t. j. samozobowiązanie do aktualizacji tej suprarzeczywistej totalności Stworzenia w akcie kreacji spekulatywnej i praktycznej wszystkich rzeczywistości całkujących wszechświata, tak jak się one w tym wzorze achrematycznym zawierają. Heteronomja absolutna woli jest więc ideałem granicznym Religji Absolutnej; dlatego istota wnętrzna absolutu w Bogu, motywująca akt stwarzania przez zjaw supra-achrematyczny Piękna Absolutnego ,jest jej najwyższym celem.

Aby ułatwić zrozumienie tych dwu motywów intymnych woli, napozór nieinteligibilnych i „irracjonalnych", przypomnieć muszę rozpatrywany powyżej problem stosunku wzajemnego indywidualności i powszechności. Jak już zaznaczyłem, indywidualność powstaje przez dołączenie bytu do wiedzy, przez wykrojenie skończonego z nieskończonego; na tem właśnie polega proces postaciowania. Powszechność natomiast jest to Wiedza sama w sobie, oderwana od jakiegokolwiek bytu, essencjalnie nieskończona. Wiemy zaś, że celem najwyższym podmiotu absolutnego jest ujęcie się w swej przedmiotowości absolutnej (jako podmiot uprzedmiotowany). Jest oczywistem, że aby ten cel osiągnąć, podmiot musi się najpierw wyzwolić ze swej przedmiotowości względnej, uwięzgłej w świecie chrematycznym, gdzie jego samorzutność twórcza jest wciąż paraliżowana przez prymitywne chcenia „ja" empirycznego; dlatego dąży on do zawładnięcia samemi warunkami swej samorzutności, do czego potrzebne mu jest nieodzownie ustanowienie w sobie czystej potęgi genetycznej Słowa, czyli powszechności i nieskończoności Wiedzy samej w sobie, ostającej się ponad wszelkim chrematyzmem, ponad jakiemikolwiek związkami wiedzy z bytem, rozumu twórczego z dziełem tworzonem. Skoro jednak jaźń urzeczywistniła już ten stan autonomji samostwórczej, czyniący ją zdolną do rozwiązania problemu *samostwarzania*, zawartego w hypostazie niewysłowionej czystego rozumu praktycznego, przekonuje się ona, że nie może na tem poprzestać, gdyż samoujmującej się Wiedzy absolutnej brak wówczas bytu absolutnego, brak dorównanej formy dla treści owego niedościgłego podmiotu hypostatycznego, który w ten sposób zdołała ona sobie uwłaszczyć. I tak jest ona zmuszona założyć sobie nowy, wyższy jeszcze problemat: tego co *jest* tak, jak być powinno, problemat dołączenia do absolutnej jedni powinności (Słowo), absolutnego trybu istnienia (Absolut), wzniesionego ponad realny arcysystem istnienia, dostępny rozumowi spekulatywnemu. W ten sposób dopiero dokonuje się indywidualizacja absolutna, uprawniająca jaźń do wolnego, osobnego współistnienia z Bogiem.

Dalszy rozwój systematu władz, zatrudnionych w produkowaniu woli rozświetli nam dokładniej to zagadnienie. Mianowicie organon omówionych powyżej czterech władz bezpośrednich: Heteronomji, Autonomji, Religji objawionej i Religji absolutnej, wymaga jeszcze uzupełnienia w postaci czterech władz narzędnych, umożliwiających wydobycie z tamtych poprzednich maksimum ich skuteczności. Będą to znowuż cele kierownicze, jakie potrafił ustanowić sobie podmiot tworzący, dla zupełnego zawładnięcia bezpośrednim procesem samorzutnym aktu woli. Te nowe natężności transcendentalne powstają wówczas, gdy czysty rozum praktyczny wzniósł się już tak dalece ponad bezpośredniość generacji powinności, którą jest zatrudniony, że umie skierować akt potencjalności twórczej (genjuszu) na same warunki pierwotne tej generacji: Heteronomję. Autonomję, Religję objawioną i Religję absolutną. Rozumie się więc samo przez się, że cztery te władze - narzędzia należeć będą do systemu technji genetycznej w arcysystemie powinności.

Aby je dobrze rozpoznać w ich istocie i w ich funkcjach rdzennych, trzeba sięgnąć aż do tej podstawy aktu woli estetycznej, która jest polem i warunkiem zarazem całego systemu warunkowania praktycznego. Mam tu na myśli tę władzę, w której wnętrzu dokonuje się przeistoczenie wiedzy, jako prostej możebności konstruowania i określania, w wiedzę, jako powinność samostwórczą. Ona to właśnie, w odpowiedzi na problem niewiedzy absolutnej swego sposobu bycia (Tajemnica Istnienia), wydobywa z siebie samorzutny akt tworzenia, rozłamujący się potem na grę wzajemną następstwa uporządkowanego aktów stwórczych i procesów wytwórczych; ona neutralizuje w sobie tym sposobem czynność postaciującą rozumu spekulatywnego, samoujmującego się w tem co jest, z czynnością samostwórczą rozumu praktycznego, wytwarzającego się w tem co być powinno. Jest to jaźń, rzeczywista o tyle, o ile stanowi oparcie dla całego arcysystemu rzeczywistości, suprarzeczywista zaś o tyle, że nie istnieje inaczej, jak w funkcji *problematu* jaźni transcendentnej, samostwarzanej, t. j. „czegoś", czego jeszcze niema, lecz być powinno. Ta warunkowość istnienia, to zawieszenie pomiędzy światem chrematycznym form i procesów wytwórczych, a światem achrematycznym wzorców i zasad stwórczych, jest wnętrznym atrybutem świadomości możebnościowej, potencjalnej, t. j. podmiotu nie znajdującego dla siebie orzeczeń w świecie *danych* i mogącego urzeczywistnić się dopiero w przyszłej hypostazie, mającej być przezeń wytworzoną. Jest oczywistem, że świadomość tego typu, nie znajdująca żadnego absolutnie oparcia poza sobą, widząca się zawieszoną niejako w wieczystej próżni bytu, intuicyjnie podejmuje jedyny właściwy dla niej tryb istnienia, rzucając bez przerwy w tę otchłań *samą siebie*, czyli: tworząc. Aby świadomość ta utrzymała się w istnieniu, aby nie zatraciła kontaktu ze swojem „ja" względnem, stworzonem, musi ona funkcjonować zupełnie inaczej, niż n.p. świadomość logiczna rozumu spekulatywnego, wsparta na *wiedności*, t. j. na skierowywaniu uwagi na samą siebie, dla rozpoznawania się w tem, co w niej jest już a priori; świadomość logiczna może na tem poprzestać, bo tamta świadomość wyższa dostarcza jej ustawicznie stanów podmiotowych, które ona jako już istniejące poznaje (dostarcza ich mianowicie w postaci aktów intenzywności transcendentalnej, aktów woli). Formą świadomości potencjalnej nie może być prosta wiedność, lecz *genjalność*, samorzutność autogeneracji permanentnej, dzięki której jaźń warunkowa urzeczywistnia się sama, nadając sobie sposób bycia, zgodny z jej essencją hypostatyczną. Genjalność (= potencjalność) jest to już pierwszy zjaw świadomości transcendentnej, absolutnej, utożsamiającej powinność z istnieniem, stanowi więc ona cechę formalną owego *absolutu w świadomości*, którego obecność powoduje w nas dążność podstawową do niewarunkowości, sprecyzowaną powyżej wielokrotnie, jako dążność rozumu stwórczego do ujęcia się w dziele stwarzanem.

Potencjalność, genjalność, jest to potęga genetyczna czynna, mieszcząca w sobie niezłomny imperatyw tworzenia. Otóż, gdy sam ten akt czystej potencjalności twórczej, świadomy już samego siebie i swoich celów, skierowany zostaje na tę natężność transcendentalną aktu woli, którą rozpoznaliśmy, jako Heteronomję, moralność, powstaje stąd cel nowy: ideał transcendentnego zużytkowania heteronomji, już nie do wyzwolenia się podmiotu od paraliżujących go wpływów „ja" empirycznego, lecz do skonstruowania w człowieku bytu absolutnego, tego samego, o którym mówiliśmy, jako o elemencie *warunkowanym* czystego aktu twórczego, będącym nie czem innem, jak samym podmiotem absolutnym w funkcji zupełnej bierności, przedmiotowości, owem miejscem ostatecznem procesów twórczych, ugruntowanem na autonomicznym czasie i autonomicznej przestrzeni. W ten sposób czysty rozum praktyczny usiłuje już sięgnąć do jednego z tych elementów granicznych, zawsze większego od formy, w jakiej chce go upostaciować dzieło tworzone, a należącego już do intymnej struktury rozumu teleologicznego, który jest współustosunkowaniem wzajemnem podmiot - przedmiotowości absolutnej Wiedzy samej w sobie. Celem jego jest tedy skonstruowanie sobie przy pomocy samych tylko warunków wnętrznych moralności — tego Nie-Ja absolutnego wszechświata, które heteronomja umieszcza poza podmiotem, a które rozum praktyczny przenosi niejako postulatywnie wgłąb własnej swej, ludzkiej struktury hypostatycznej. Natężność ta podmiotu tworzącego, antycypująca już tutaj to, co może być urzeczywistnionem dopiero na wyższych piętrach rozumu twórczego, — to Autotezja Ludzka, t. j. praca samostwórcza niewysłowionej istoty rozumu praktycznego, wykonywana w celu *założenia* w sobie rozumowości stwórczej wszechświata, będącej zupełną totalnością wszechistnienia. Spełniając ją, twórca zmierza do wytworzenia w sobie jednego z dwu naczelnych elementów istoty wnętrznej Boga, tego mianowicie, który już znamy pod mianem: Absolut.

Zkolei, gdy rozum praktyczny skierowuje akt potencjalności twórczej na przeciwstawną Heteronomji natężność transcendentalną: samoczynność mesjaniczną, Autonomję, powstaje znowuż ideał transcendentnego zużytkowania Autonomji, już nie do ustanowienia się jako samość, ponad innością absolutną wszechświata w Bogu (Tajemnicy Istnienia), lecz do świadomego skonstruowania sobie wiedzy absolutnej, tej samej, o której mówiliśmy jako o elemencie *warunkującym* czystego aktu twórczego, podmiocie nieskończonym, zawsze większym od tych jego zjawów, jakie zdołał w sobie ustanowić czysty rozum praktyczny zapomocą aktów stwórczych wciąż powtarzanych. Próbuje więc tutaj twórca uwłaszczyć sobie odrazu całość owej nienaszej, ponadosobowej powszechności Wiedzy samej w sobie, podobnie, jak w Autotezji, chciał on nadać sobie pojemność odrazu na całość owej nienaszej, ponadosobowej indywidualności Bytu samego w sobie; znowuż więc przedujmuje on już tutaj, w ramach arcysystemu powinności (rozumu praktycznego) jeden z elementów granicznych intymnej struktury czystego rozumu teleologicznego, ten mianowicie, który jest źródłem wszelkiej podmiotowości wogóle, podobnie jak drugi ów element, poszukiwany w Autotezji, jest źródłem wszelkiej rzeczywistości przedmiotowej. Celem jego jest tedy skonstruowanie sobie — zapomocą użytych w nowy sposób przez akt genjalności samostwórczej warunków wnętrznych mesjaniczności, autonomji — owego Ja absolutnego wszechświata, które przenosi on postulatywnie wgłąb własnej swej hypostatycznej struktury. Natężność ta podmiotu tworzącego, usiłująca wydostać się poza obręb całego arcysystemu powinności, aby go od zewnątrz ogarnąć i ugruntować, — jest Autogenją Ludzką, t. j. sztuką wytworzenia w sobie mocowładności stwórczej na podobieństwo mocowładności stwórczej Boga. Tu oto mamy właśnie owo wolne, niezależne od jakiegokolwiek warunku uprzedniego, wysnuwanie z siebie odrazu całego zjawu zasad i problematów Wiedzy samej w sobie, zjawu, którego totalność absolutna możliwa jest dzięki wzniesieniu się jaźni ponad warunki czasu i przestrzeni, te bowiem umieszczone są gdzieindziej, w elemencie przeciwstawnym bytu absolutnego, konstruowanego przez Autotezję.

Powstaćby mogło pytanie, czem różnią się te nowe władze od dwu władz niższych, rozpoznanych jako Samość i Inność, potencjalność Ja i potencjalność Nie - Ja, tych, których gra wzajemna stanowi podstawę pierwszą procesu samorzutnego, przyczem z ich zbiegu harmonijnego powstaje Duch, potęga jednoczesnego, świadomego władania obydwu temi potencjalnościami naraz. Otóż różnica tkwi w tem, że podczas gdy Samość i Inność są składnikami immanentnemi procesu twórczego i dynamika ich możliwa jest tylko dzięki ostawaniu się poza ich obrębem owych dwu elementów nadrzędnych: nienaszej Wiedzy w sobie i nienaszego Bytu w sobie, to Autogenja i Autotezja są skokiem podmiotu w transcendencję zupełną, chcą one bowiem opanować za jednym zamachem pełnię istoty hypostatycznej elementów nadrzędnych, co, gdyby zostało dokonanem, zniosłoby grę wzajemną Samości i Inności, a nawet uniepotrzebniłoby wogóle Samość i Inność, wytrącając z pod nich te podstawy, na których opiera się sama ich racja bytu i sama ciągłość ich działania. Zrozumiałem jest, że przeniesienie Wiedzy samej w sobie, oraz Tajemnicy Istnienia wszechświata w Bogu, we wnętrze intymne samego podmiotu tworzącego, świadomego siebie, zniosłoby cały arcysystem powinności, uniepotrzebniając akt potencjalności twórczej i jego formę: genjalność, gdyż cała architektura rozumu praktycznego (Treści Czystej, intenzywności transcendentalnej) rozbudowana jest właśnie na braku istnienia absolutnego, zawieszającym jaźń w próżni i zmuszającym ją do zapełniania jej przez tworzenie. Skonstruowanie sobie przez nią wiedzy absolutnej i bytu absolutnego, przeistoczyłoby świadomość potencjalną, ugruntowaną na problemacie transcendencji, w świadomość absolutną, ugruntowaną bezpośrednio na dwu, urzeczywistnionych już w człowieku, elementach nadrzędnych samego rozumu teleologicznego.

Ani Autogenja ludzka, ani Autotezja ludzka, nie są wstanie urzeczywistnić tego przeniesienia podmiotu tworzącego w nową, trzecią sferę potencjalności rozumu twórczego, tę, której ideał motywuje rozum praktyczny czysty we wszystkich jego czynnościach, jako postulowana przezeń *nieśmiertelność osobowa:* są one tylko natężeniami aktu woli, orjentującemi go samorzutnie ku tej sferze. Jednakowoż wystarczają one już, by przygotować antycypatywnie, w hypostazie podmiotu tworzącego, dwa te filary transcendencji czystej: Absolut i Słowo, pierwszy w funkcji Nie - Ja absolutnego wszechświata, drugie w funkcji Ja absolutnego wszechświata. Często powtarzane, zwrócone w tym kierunku akty woli, przegrupowują niejako całą rzeczywistość myślną, rzeczywistość ideału samostwórczego Wiedzy samej w sobie, od zewnątrz ku wnętrzu, t. j. od procesu sztucznego postaciowania, wykonywanego przez rozum spekulatywny, procesu, w który dotąd rozum praktyczny sam był, jako jego Treść Czysta, bezpośrednio zaangażowany, ku wyłącznemu poszukiwaniu owej wartości ostatecznej, podobającej się sama przez się, a przezieranej pod ideą Piękna Absolutnego. Odtąd podmiot dostrzega już wyraźnie, poza zewnętrznym światem procesów wytwórczych i poza wewnętrznym światem aktów samostwórczych, świat inny, nowy, w którym spodziewa się on odnaleźć Ziemię Obiecaną piękna niewarunkowego, rozkwitającą w zupełnej próżni określeń, poza wszelką realnością objektywną i wszelką interesownością subjektywną, w hyperkreację wnętrznego ustosunkowania indywidualności absolutnej i powszechności absolutnej, związanych jednem, niewarunkowem Prawem Stworzenia.

Jerzy Braun.

STANISŁAW CZERNIK

Liber beneficiorum

To było dawno, trwało długo:
Winnice benedyktyńskie
Nierozkwitłych Michałów Aniołów.
Łysogóry i Długosz —
Liber Beneficiorum.

Grube księgi, jak koła młyńskie,
Słów pszenicę roztarły w psałterzu.
Wiatr pyłeczki bieluteńkiej mąki
Rok w rok coraz bardziej rozwiewał,
Może na sąsiednie drzewa,
Może na łąki —
W starym młynie tylko czaszki leżą.

A były winnice i modlitwa,
I dziesięcina „in gonithwam"
Na każdej przybita skibie —
Mówi Długosz w „Liber..."
A spisy zostały długie,
Dłuższe od listy ksiąg —
Ile żyta i owsa,
Ile siana i z jakich łąk...

Jak osad pozostał posmak
Z ksiąg wymierzonych czasem.
Czas drżał długo
Nad stosem czaszek
W piwnicach klasztornego dworu.
Czaszki zostały i Długosz
W „Liber Beneficiorum".

Odkrycie

Podarte słowa w gorączce
Podartą kwiliły kartką,
Niedawno odkryte bieguny.
Niewarto zestawiać odnowa
Słów, sylab, liter,
Bo nie powtórzy się byłego płaczu
Mitem uwitym ze strzępków świeżych.

Tylko grabka palców drapieżnych
Zgarnia martwe papierki
W kłebek maleńki,
W szeleszczący zwój mysiego gniazdka.
Aż gniazdko z ręki, jak myszka, skoczy
W otwarty piec,
W torf.

Kłębek papieru podlega kłębkowi praw,
Nie zmieni wiekowych norm —
Złączy się papier i torf
W zgliszcza spalonych słów i traw.

ADOLF GAJDOSZ

Na grobach pól opuszczonych

Skrzydła anioła wetknięte w ziemię
czerwonych maków słuchają powiewu
i szeptu iwy —
żyjących cienie.

Starte są drogi umarłych,
ponury, trupi spokój trawi tu swoje dni:
wystygłem czołem o kamień nagrobny
opiera się —
śni.

Aż na niebie naraz nocne rozkwitną grzybienie,
wszyscy umęczeni, zawiani, straceni
rozłamią deski trumien pobutwiałych
i zaczną wstawać — —

Z czeskiego przełożył Zdzisław Kempf.

KAROL TOMAN

Jesień

Patrz, srebrna gwiazda
w modrzewiach wstała u podszycia lasu.
I zasępiony wieczór zawój zwlókł
na świat i duszę.

W opustoszałej willi gdzieś
gorący alt śpiewa. Krzykło we mnie serce.
Ach, ciemne oczy, włosy roziskrzone,
namiętne włosy!

Chyba mi ścisnął gardło
ktoś obcy silną ręką (liść opada)
i krzyczy mi do uszu ironicznie:
Kiszocie, amen.

Z czeskiego przełożył Zdzisław Kempf.

Tragedja cerkwi prawosławnej

Antoni Starodworski *Tragedja Cerkwi Prawosławnej w Z. S. R. R.* (Czy ze zniszczeniem Cerkwi również została zniszczona potrzeba religji w narodzie?). 181 str. Liczne fotografje dokumentarne. — W-to Instytutu Naukowego badania komunizmu. Warszawa, 1934.

Autor spędził długie lata w Rosji porewolucyjnej: miał dostęp do wielu spraw ukrytych. We wstępnym rozdziale opisuje pobieżnie rozkład Kościoła prawosławnego już w Rosji przedwojennej; głębiej i bardziej przejmująco uczynił to kiedyś Wł. Sołowjow, zwłaszcza w swej, po francusku napisanej pracy pt.: „Rosja a Kościół Powszechny". Tytuł przygnębiającej książki Starodworskiego nie jest bynajmniej przesadny: tak, to tragedja w całej pełni. Są w tej książce fotografje, na które nie można spojrzeć bez straszliwych mdłości (ludzie zniekształceni z głodu, dojadający własne dziecko i t. p.); są to jednak rzeczy, które mogły się zdarzyć w każdym kraju, nawiedzonym klęską głodową, a więc nie specyficznie sowieckie, świadczące najwyżej o wadliwym systemie gospodarczym. Natomiast drugiego rodzaju okropność — to np. głęboki upadek moralny — pod naciskiem okoliczności zewnętrznych, spowodowanych przez régime bolszewicki — najwyższego dostojnika cerkwi prawosławnej, patrjarchy Tichona. Dowiadujemy się z bólem, że dokument, będący niejako stwierdzeniem apostazji patrjarchy, nie jest apokryfem; owszem złamany więzieniem patr. Tichon nietylko podpisał, ale własnoręcznie przepisał cały ten dokument, którego treść uważał za nieprawdziwą.. Tłumaczył się później w obecności p. Starodworskiego, że uczynił to dla jakichś względów polityki kościelnej i że zresztą... nie mógł postąpić inaczej.

Szczegółowo opisuje autor rozpaczliwy stan „prawny" kościoła prawosławnego w Rosji dzisiejszej. Być tam kapłanem, to być męczennikiem. Aby tam być jawnym wyznawcą chrześcijaństwa, trzeba się zdecydować na śmierć głodową — albo gorszą. Mówi też autor — i ilustracjami dokumentuje — o dzikiej, równie przewrotnej jak ordynarnej, kampanji propagandowo-antireligijnej. A przecież, mimo to wszystko, wydaje się, że autor nie w całej pełni uświadamia sobie przepastność motywów, leżących u podstaw tej akcji. A to z racji, że książka jego nie posiada dostatecznej podbudowy filozoficznej. Stwierdza on raczej, niż tłumaczy i wyjaśnia. Tymczasem ze stanowiska filozofji absolutnej nietylko książka ta nie dziwi zgoła (choć przeraża), ale ponadto można, bez najmniejszej obawy pomyłki, prorokować, iż ustrój sowiecki wyrzeknie się raczej wszystkiego, niż niszczenia idei Boga; raczej uzna długi carskie, raczej pozwraca majątki obcym obywatelom, niż się szczerze pogodzi z istnieniem chrześcijaństwa.

Ponura ta książka kończy się wyrazem pewnego optymizmu. Autor stwierdza, że na dłuższą metę żaden ustrój się nie utrzyma bez doktryny kierowniczej, filozoficznej lub bodaj pseudo-filozoficznej; i że przeto już dzisiaj są oznaki pewnego „niepokoju metafizycznego" wśród młodzieży bolszewickiej. — Zapewne. Naród rosyjski nie przestał być ludzkim, a więc nie można zeń wyplenić do gruntu tego, co stanowi właściwą człowieczeństwa istotę. Lecz z drugiej strony, ów niepokój metafizyczny — to tylko jakby duchowa ostroga, pobudka, zachęta do szukania. A samo szukanie, zwłaszcza zaś znalezienie, stanowiące cel absolutny człowieka, wymaga długich tysiącleci. Toteż prawdziwą będzie tragedją, jeśli zostaną zniszczone wszystkie już wypracowane narzędzia myślne, wszystkie już osiągnięte zdobycze transcendentalne — poto, by człowiek raz jeszcze nanowo, musiał rozpocząć swą bezgraniczną mozolną wędrówkę na pionową górę wiedzy niewarunkowej.

Jeśli co upoważnia do skromnej szczypty optymizmu, to już raczej — zupełna nicość spekulatywna głoszonego w Sowietach oficjalnie materjalizmu „filozoficznego". Wprost trudno uwierzyć, by sami jego głosiciele mogli go brać poważnie. Wszak wystarczą choćby dwa najoczywistsze zarzuty: 1) wymaga się od człowieka cnót obywatelskich, ba heroizmu. Ale jakże uzasadnić, ze stanowiska materjalizmu, że jakiekolwiek bądź względy mają być dla mnie ważniejsze, niż mój osobisty, najbezpośredniej aktualny dobrobyt? Twierdzimy stanowczo, że rozumowo takie uzasadnienie jest bezwzględnie niemożliwe. — 2) Wszystko jest materją, a więc wszystko podlega ścisłemu determinizmowi. Każdy mój czyn jest równie konieczny, jak spadanie kamienia. — Cóż tedy za sens: sądzić człowieka za jego przewinienia? Czy można sądzić kamień za to, że spadł? Kto sądzi, ten domyślnie mówi, że mogłem postąpić —i powinienem był postąpić — inaczej, niż postąpiłem; a więc przeczy determinizmowi.

Niesłychanie grubijańskie są też wszystkie metody propagandy ateistycznej; nic w tem subtelności, żadnego argumentu, któryby mógł wywołać chwilę zwątpienia. I prawdopodobnie dlatego właśnie te wszystkie plakaty są skuteczne; tłum bowiem woli gotowe hasła, chociażby bezmyślne, aniżeli argumenty, zmuszające do myślenia samodzielnego.

Jakie pragmatyczne wskazania na przyszłość można wyciągnąć z tej równie pożytecznej jak zasmucającej lektury? — To przedewszystkiem, iż w życiu całego narodu żadna, najokazalsza bodaj obrzędowość nie zstąpi istotnego ureligijnienia. Pamiętajmy o tem i pogłębiajmy swe chrześcijaństwo. I to, po wtóre, że kierownictwo ludzkości niczego dziś nie potrzebuje tak śmiertelnie, jak wysokiej, niewzruszonej Prawdy. Pamiętajmy o tem i pogłębiajmy swą filozofję.

K.

Zbiorowe wydanie pism Brzeziny

(Notatka bibljograficzna).

Staraniem „Czeskiej akademji věd a umění", nakładem A. S. Melantricha w Pradze, ukazały się pierwsze tomy pism zbiorowych Otokara Brzeziny, największego wśród poetów czeskich lat 90-tych ubiegłego wieku, a zarazem poety o największej głębi metafizycznej w całej czeskiej literaturze wogóle.

Całość zbiorowego wydania Pism rozpada się na trzy działy, które są pomieszczone w trzech tomach dużej ósemki; 1 tom: „Basnické spisy" obejmuje 6 tomików poezyj, w porządku w jakim poeta je wydawał: „Tajemné dálky", „Svitaní na západě" „Větry od pólu", „Slavitelé chrámu", „Ruce" i „Torso šésté kihy básni". 2 tom obejmuje prozę. 3 tom pierwociny literackie. Redakcję dzieł prowadzi prof. Mirosław Hýsek.

Zanim omówimy obszerniej twórczość poetycką Otokara Brzeziny, przytoczymy narazie dla tymczasowej informacji czytelnika sąd Fr. X. Szaldy, jednego z największych krytyków czeskich, który w książce swej „Duše a dílo" tak między innemi wyraził się o Brzezinie:

„Tylko wielka dramatyczna siła poetycka, która miała szaloną odwagę antropomorfizować dzieje kosmiczne i patrzeć na historię wszechświata, jak na historję własnej duszy, mogła dojść do tego, w czem widzę artystyczny stylowy szczyt liryki Brzeziny: do tworzenia duchowych rodów i typów.

Najbardziej typowemi dla Brzeziny są poezje, które skupiają całe poselstwo i żniwo wieków, dziejów, sił, mowy, klątw i czasów albo dramatycznych i ironicznych sytuacyj...

Przeczytaj „Męczenników" — ciała, miłości, ciszy, odziedziczonych win, grzechu, najwyższej tęsknoty — przeczytaj utwór „Długo stali..." w „Wietrze od pól"; przeczytaj „Proroków", „Szaleńców", „Ślepców" i „Wino silnych", a przerazisz się, jak przebogatym twórcą duchowych postaci, jest Brzezina, jaką siłą objektywizacji włada i jak potrafi wyczuć wszechstronną równowagę różnorodnych sił i spleść je chwilowem przymierzem w artystyczną plastykę, która jest świadectwem ich żywotności".

Wydanie zbiorowe pism Brzeziny zdaje się zapowiadać renesans poety. Rzecz charakterystyczna — w dobie poezji proletarjackiej i awangardowej, w dobie upraszczania życia, „przychodzi znowu poeta do głosu i czci, ze swem pragnieniem nieskończoności", którego „myśli mają oddech szerokich przestrzeni... w którym dyszą światy".

an. br.

Dwie publikacje

„Czesi nierównie więcej znają i korzystają z naszej literatury niż my z ich" — powiedział kiedyś Brückner. Istotnie. Ostatnio zanotować musimy dwie publikacje czeskie, z których jedna omawia ciekawy temat stosunków literackich polsko-czeskich, następna zaś odnosi się do rzeczy ściśle polskich.

Dr. Bogumił Vydra, były lektor języka czeskiego na Un. Warsz., wydał studjum p. t. „Jaroslav Vrchlický a Paláci". Studjum d-ra Vydry oświetla źródłowo stosunek wielkiego poety czeskiego do Polaków i vice versa. Od pierwszej karty śledzimy jak Vrchlický, krok za krokiem, coraz baczniejszą zwracał uwagę nietylko na naszą poezję, zwłaszcza na Mickiewicza i Słowackiego (przełożył „Dziady" na język czeski) ale na naród polski wogóle. Sympatje poety wzrastały stale, do czego przyczyniły się podróże poety do naszego kraju i korespondencja z przyjaciółmi, których miał u nas niemało... Dr. Vydra wydobywa nietylko ważny dokument, stanowiący istotny przyczynek do literackich stosunków polsko - czeskich, ale daje też pierwszorzędny i o ile możności sumiennie zebrany materjał porównawczo-literacki i biograficzny, nieoceniony dla badaczy dzieł wielkiego poety. Praca Vydry jest bardzo sumienna i tem cenniejsza, że autor oświetlił z punktu widzenia czesko - polskiego całą twórczość J. Vrchlickiego. Druga publikacja wyszła z pod pióra znawcy i propagatora słowiańskiej sztuki Franciszka Táborskiego; jest to książka o Grottgerze. Już podtytuł „Jego miłość i dzieło" ukazuje nam odrazu, na pierwszy rzut oka, na czem się skupiła uwaga autora. Przedstawia on mianowicie dramat miłosny „Arthura i Wandy". To jest podstawowy motyw, wokół którego autor snuje opis życia artysty, doprowadzając go do czasów paryskich, przerwanych przedwczesną śmiercią Grottgera. Nie będziemy tu przytaczali szczegółów, bo te wykraczają poza ramy artykułu informacyjnego. Wspomnimy tylko nawiasem, że rozdziały tyczące pobytu Grottgera w Paryżu, należą do najlepszych bodajże w całej pracy.

Zajmującym jest też rozdział „Grottger a my", gdzie autor uwypuklił bardzo ważną, dotychczas niezauważoną, paralelę między „cykliczną epiką" malarza czeskiego Aleša i Grottgera. Że Aleš znał i interesował się sztuką Grottgera o tem świadczy to, że w albumie czeskiego malarza znaleziono kartki z reprodukcjami Grottgerowych cyklów. Dalej ukazuje nam jeszcze autor wpływ Grottgera na Jeneweina. Najwięcej jednak miejsca poświęcono w książce romantycznej miłości artysty: przedstawiono ją na szerokiem tle środowiska, któremu autor przeciwstawia czeską trzeźwość, w atmosferze której polski artysta nie mógłby z pewnością walczyć „o kawał miejsca na słońcu..." Całość wypadła szczęśliwie, ale mniej może szczęśliwie wypadł wybór obrazów Grottgera jako ilustracyj.

anbr.

Trudny życiorys

Marjan Czuchnowski. Trudny życiorys. Poemat wiejski. Po konfiskacie nakład drugi. Kraków 1934. Str. 92.

Poemat wiejski Czuchnowskigo jest niespotykanym u nas rodzajem eksperymentalnej epiki. Pracę Czuchnowskiego można uważać za pierwszy poważny objaw coraz bardziej wzrastających skłonności do epiki, jako naturalne następstwo rozwoju autentyzmu w poezji. „Trudny życiorys" nie jest kompozycją jednolitą. Składa się z trzech warstw znacznie różniących się od siebie bądź stylem, bądź treścią. Pierwsza warstwa jest rodzajem wstępu, potem następuje serja „obrazków", przedstawiających drastyczne epizody z życia wsi, w której „100 najemnych dźwigało czarny dzień — na lekkie życie 25 bogaczy". Poeta wprowadza nas w rozdźwięk społeczny między warstwą zamożniejszych kmieci a gromadą przywsiowej biedoty — chałupników i wyrobników. Charakteryzuje to w ten sposób: „Batóg pański przerósł w harap kmiecy". Konflikt między proletarjatem wiejskim a warstwą „kułaków" — kapitalistów prowadzi do socjalnego ruchu — powstania wiejskiego. Opis tego powstania stanowi trzecią, prawie w całości skonfiskowaną część poematu. Widzę ogromną różnicę między tą częścią „bojową" a poprzedzającemi „sielankami". Opis walki jest papierowy, — czuje się, że nie został oparty na autopsji. Natomiast cykl sielankowy rozsadzany jest autentyzmem, niemało w nim rzeczy istotnie wartościowych, nprz. fragmenty „Wbrew prawom fizyki" lub „Bogaczom szmer banknotów". Rozdział wstępny nie jest pozbawiony nieporozumień. Zaczyna się nieoryginalnem i wadliwie zestawionem zdaniem „W kraju gdzie skrzypi nocami trzask szubienic". Odrazu wątpliwość z punktu widzenia epiki. To nie autentyzm epika, ani nawet możliwa do uzasadnienia subjektywna symbolizacja. To raczej liryzm czarnowidza, mający w sobie coś z cierpiętnictwa. Wogóle Czuchnowski wywołuje protest za protestem. Na każdej stronie, w każdem zdaniu prawie spotykamy jakieś drażniące nas zestawienia. Może wynika to z wybujałej oryginalności poety, tej oryginalności nie pozornej, nie podrabianej, lecz naturalnej, ale nabrzmiałej jakąś jaskrawą grozą pierwotną i „barbarzyńską" siłą prowadzącą z chaosu do wywalczanej, własnej, nie dającej się jeszcze określić organizacji. Czuchnowski sprawia wrażenie człowieka pierwotnego obdarzonego nadzwyczaną inteligencją. Charakteryzuje go wielka ostrość i pewnego rodzaju drapieżność w spostrzeganiu i chwytaniu zagadnień oraz przenikliwość zmysłowa, widocznie uwarunkowana pierwotnem nieprzytępieniem poszczególnych zmysłów, co równocześnie łączy się z jakimś oporem w stosunku do wymagań dyscypliny myślowej. Uwidacznia się to w „stylu" Czuchnowskiego, w jego furji porównań, w oszalałem, zagmatwanem wezbraniu słów napiętych, naprężonych, dusznych, rozpierających w swej do niczego nie dającej się porównać żywiołowości. Ten niewątpliwie trudny do opanowania żywioł nie jest jeszcze uległy poecie i co chwila sprowadza go na manowce. Te właśnie manowce wywołują nasze nieustanne protesty. Te metafory mleczno - ceramiczne („zaprasza westchnąć nad mlekiem zachodu — wylanem w srebrny garnek obłoków), te okazy stylu „proletarjackiego" („dni przemycaja bibułę pól po lasach"), te inklinacje do motywów fizjologiczno - seksualnych („jałowa nowina otwiera swą jamę, maciczne usta"), te nadużyte bardzo obecnie porównania kobiet z krowami („ziemia cieli dni brzuchami kobiet") i t. d. Próby nowatorskie Czuchnowskiego w zakresie składni wymagałyby obszerniejszej dyskusji. Wydaje mi się, że „Trudny życiorys" jest wstępem do dojrzałego Czuchnowskiego.

... Czernik.

OTOKAR BRZEZINA

Muzyka ślepców

Tysiącleciami dusze nasze błądzą po bezdrożach ziemi —
ślepcy oślepli przez grzech narodzenia,
ku swym łkającym, namiętnym, rozrzutnym skrzypcom serca
w ekstatycznem natchnieniu schyleni.

Zmieniony w muzykę, wspaniały przepych wszechświata,
odjęty wygasłym oczom, wibruje ku nim z tonów,
a żywe skrzypce ich, zebrane wichrem w płomień,
huczą pod eterycznych palców dotknięciem szalonem

Dla kogo łka twa pieśń, o serce, jak wykrzyk cierpienia,
w płonącej celi, rozpalonemi zamkniętej kratami?
jak daremna tęsknota po przebudzeniu
na upalnem łożu, nieba zduszona brzemieniem?

Ogrody o gigantycznych kwiatach pachną z twoich tonów,
słyszymy, jak triumfalny lot duchów ze wszystkich niebios w nie spływa,
z nich słońce w burzy blasków pługiem swym wyrywa
zwichrzone skiby lazurowych zagonów.

W nich wszystkie morza kipią, w wir tysiąca wesel skłębione,
zmierzchy przestworzy, co lotem skrzydel nieznanych drgają,
i fale czasu, co pluszczą, jak wody źródła zielone,
gdzie ręce bratobójcze swe plamy zmywają.

Gorzko, jak krzewy zniszczonych ogrodów, kobiety w nich jęczą,
na smugi wrących wiatrów strząsając pocałunki,
w nich księżycowa poświata dzwoni, jak srebrne obręcze
na białych kostkach tancerek.

W nich szumią pieśni, które przez wieki śpiewali braci twoi,
święci i wzgardzeni, książęta, prorocy,
dysonanse zagasłych żywotów, zuchwalstwa świętych bojów,
kogucie piania dni przyszłych, we krwi narastających.

Ogniste przepaście ziemi, nocne śmierci namioty,
kwitnące w kosmicznem morzu gwiezdnemi asfodelami
i wszystko, co myśl mąci — zgroza i zawroty,
i czego oślepłemi nie dojrzeć oczami.

Przez tysiąclecia dusze nasze błądzą po bezdrożach ziemi —
ślepcy oślepli grzechem narodzenia,
w muzyce łkających, namiętnych, rozrzutnych skrzypiec serca
napróżno wypatrujący uciszenia.

A gdy wreszcie wszechświata najwyższym współdźwiękiem
miłość objęła w nieskończoność rozpięte interwały,
prąd łez i krwi z oślepłych oczu twarze im spalił
i wszystkie struny twych skrzypiec, o serce, się stargały.

(Z tomu „Ruce"). Spolszczył Antoni Madej.

Listy do redakcji

Otrzymaliśmy następujący list, który drukujemy poniżej.

Redakcja.

Sambor, dnia 7.X 1934.

Czcigodny Panie Redaktorze!

Nie mając innego środka obrony, proszę w imię sprawiedliwości o łaskawe umieszczenie mego artykuliku pod niżej podanym tytułem — na łamach b. cennego „Zetu".

Wyrazy niezmiennej czci i szacunku łączę.

Michał Waligóra.

W OBRONIE PRAWDY

Może i nigdy nie pojmę, dlaczego autor notatek „O napis w izbie „Wesela" i „W sprawie nowej plotki" (Zet 61) tak uporczywie broni, mojem zdaniem zasadniczego błędu, że aż posuwa się do insynuacji świadomej nieuczciwości ludziom odmiennego na rzecz poglądu.

Wiem, iż ostre a gołosłowne pociski, wyrzucane z dyktatorską butą: *sic volo, sic iubeo*, tracą zwyczajnie na walorze i grotem zwracają się częstokroć w stronę cięciwy. To mię uwalnia od polemiki. Inna sprawa z obroną prawdy, jako nakazem kategorycznym każdego, perfidją nieskażonego człowieka na przestrzeni prostak - genjusz. Że zaś prawda z natury swej nie znosi żadnych domieszek spekulatywnych, przeto pragnę rzecz przedstawić zupełnie objektywnie i prosto, bez stylistycznych przesad często fałszywie zrozumianych przenośni.

W wymienionych notatkach zarzucono mi bez skrupułu i żenady brak percepcji, kolportaż świadomego fałszu i nieuczciwość metody. Bywają i takie wyczyny w dzisiejszej literaturze, zwłaszcza w publicystyce.

Istnieje mało komu wiadoma — zdaniem mojem wysoce charakterystyczna — książka o Wyspiańskim, wydana w Paryżu 1931 r., podpisana: Adam Łada Cybulski. Tytuł tej książki jest dosłownem, choć nieco błędnem tłumaczeniem wypisanej przez Wyspiańskiego na suficie sceny — Wesela w greckim tekście dewizy: *Ho de ek Noos fotejnos Logos*, co autor usiłuje zidentyfikować z tekstem Ewangelji św. Jana: „A Słowo ciałem się stało". Ale niewiadomo jaką chimerą psychologiczną wyłożył na polskie: „Z mroku jaśniejące Słowo"!— Tytuł nie jest omyłką. Powtórzono go bowiem kilkakrotnie w tekście książki, dodając ponadto jeszcze słowa „Syn Boży"!— Zasadniczy, każdemu oczywisty błąd tkwi wtem, że grecki wyraz „*Nus*" (rozum, umysł, światło) oddano przez polski wyraz „*Mrok*"! Do tak osobliwie spreparowanego tytułu dopasowano tekst całej książki. Ponieważ książka ta dezawuuje, jak mi się zdaje, Wyspiańskiego, odbronzawia, po myśli (wystąpieniem „Pana Tadeusza" w stulecie i wydaniem sejmowem gruntownie i wieczyście skompromitowanych) Millerów i Boyów — Mickiewicza — i staje się źródłem wielokrotnych, mniej lub więcej niekulturalnych przeciwko mnie wystąpień, jakich próbka w cytowanych wyżej notatkach, zwłaszcza w 15 n-rze „Zetu" p. t. „Metoda p. Waligóry" — zmuszony jestem raz jeszcze zabrać głos w obronie prawdy i własnej czci.

Stanowisko moje w poglądach na Wyspiańskiego „Wesele" i „Wyzwolenie" dostatecznie już umotywowałem w mych publikacjach „Wyzwolenie Wyzwolenia", „Klątwa Legendy", tudzież w obszernych artykułach Zetu nr. 15 i 16, więc nie będę więcej nad tem się rozwodził. Pozostają tylko do wyjaśnienia dwie rzeczy: dwoistość Mickiewicza i napis w izbie „Wesela".

Że „Polska - Pogrzeb - Wesele" rozgrywa się, według Izraela Lacka, „na niebie", mamy na to najświeższy dowód w ucieszonym wierszu Janusza Minkiewicza (Liter. ABC, 41) „*Polska na niebie*", co z pewnością było w wizjach Wyspiańskiego. Trudno tylko uzgodnić enuncjację „*Tragicznej Historji*", że w poecie „*nakazanie Boże* dzieło swe spełnia, „ŻYWE kreśląc DZIEJE, by w dziejach żywi myśli te przeżyli, z których gzło zdarły dramatu koleje".

Że „Lack nigdy w swych pismach problemem podwójnego Mickiewicza się nie zajmował", wiem dobrze. U Lacka, jak i jego satelitów, Konrad — to Wyspiański, a Genjusz — to Mickiewicz. Koncepcja podwójnego Mickiewicza i związana z nią absurdalność „monagonji" jest zamaskowaną rejteradą z dotychczasowego frontu „Wyspiański *contra* Mickiewicz" — pod wpływem (bez zarozumiałości) moich publikacyj i bardzo wielu listów prywatnych w tej materji. — Niech nas nie zraża widmo tendencji! Przyznaję, że sztuka nie ma celu poza sobą i zakałą dla niej jest tendencja. Dziś tendencja społeczna stała się, powiedziano, niemal obowiązkiem literatury; być może, iż dlatego właśnie schodzi na psy. Ale gdy *trzeba* i arcydzieło sztuki, „Pan Tadeusz" w swej treści staje się „zarazą w Grenadzie", którą (doradzają) „należy siarką z nas wypalić".—Prawda, jak zgodne są opinje krytyków?..

Syn narodu, Wyspiański patrzał na „zalew" Polski; „litość i trwoga uniosły Go w Piękno jasnowidzenia", trafnie wyraża się Cybulski. Ale, podobnie jak Mickiewicz w Improwizacji, nie stracił ani na chwilę realnej Polski z oka. Toż, podobnie jak On, rzucał nam zpod nieb w Pismach swych Talmud, Mannę, Ewangelję.

Nie przesądzając, czy autor „Wesela" sięgał po dewizę wcielenia Syna Bożego — do literatury pogańskich pisarzów, czy do Ewangelji św. Jana, (jeśli już „wizjoner" koniecznie szukać musiał literackiego oparcia) bierzemy substrat rzeczy konkretnych. Faktem jest, iż nie w domu p. Tetmajerowej, lecz na scenie „Wesela" widniał, zatarty cokolwiek napis grecki ale nie z Ewangelji św. Jana „*Kai ho logos sart egeneto*" lecz napisany powyżej! — Już na pierwszy rzut oka nietrudno pojąć, że wygłasza on, jako następnik, połowę zdania, którego pierwszą połowę z jakiegoś powodu rozmyślnie zatajono. Że tak jest, dowód w partykule „de", która suponuje poprzedzającą partykułę „men" jako swój korelatyw. Jeśli sobie teraz uprzytomnimy rywalizację czołowych naówczas prądów, z których jeden (swoisty) niósł z sobą życie narodu i Światło Boże, drugi (obcy) propagował nirwanę i „morze ciemności", całość rekonstruowanego zdania, w łacińskiej transkrypcji, tak się przedstawi:

Ho men su ek skotus logos thanatoforos—diabolos, ho de mu ek noos fotejnos logos — hyios Theu estin.

Czyli: Twoja idea, śmiercionośna córa ciemności jest szatanem, moja zaś, Światło Boże, jest Synem Bożym. Bo „Bóg jest Światłość i żadnych ciemności w nim nie masz" — mówi św. Jan (Ep. I, 5).

Napis na sosrębie w „Weselu"—to jest sztandarowa dewiza, rozpięta na niebie nad całem polem walk duchowych Konrada z Genjuszem: Chrystjanizmu z Neopogaństwem, płynącem dziś korytom judeomasońskim w „nie—Boskiej Komedji" z pod Kremla. Tak twierdzi najwybitniejszy obecnie myśliciel rosyjski Mikołaj Bierdiajew w dziele „Christianisme et Rèalité sociale".

Ufajmy,—wcześniej czy później Marxo-Genjusz zmuszony będzie wykrzyknąć: Galilace Vicisti!

Literatura zagranicą

Pisma zebrane Hofmannsthala ukażą się w trzytomowem wydaniu nakładem S. Fischera w Berlinie. Zawierać one będą także dramat „Der Turm" i „Reitergeschichte". W tomie I-szym będą zebrane poezje, dramaty liryczne i komedje, w II-gim dramaty, w III-cim „Der Turm", opowiadania, listy, mowy, artykuły.

Drobne prace Rilkego, dotąd nieogłoszone, składające się z 60 artykułów poświęconych omówieniom książek oraz rozważaniom na temat literatury i sztuki wydał w ilości 100 egz. jako druk bibljofilski Herbert Reichner (Wiedeń). Zebrano artykuły z kilkunastu, dziś już prawie niedostępnych, pism literackich, wydawanych w latach 1896 — 1902.

Do obszernej literatury o Stendhalu przybywa jeszcze jedna interesująca praca, zajmująca się zagadnieniem dotąd jeszcze nie rozpatrywanem, mianowicie stosunkiem Stendhala do teatru, do dramatu. Zagadnienie jest tem bardziej interesujące, że młodość Stendhala przypada na okres ogromnie silnego wpływu teatru na życie, okres w którym teatr — specjalnie w Paryżu — odgrywał w dziedzinie sztuki rolę dominującą. Autorem pracy jest Paul Arbelet. Tytuł: „Stendhal au pays des comédiennes" (Arlaud Ed. — Grenoble).

Antologja młodych prozaików włoskich ukaże się w bież. roku w opracowaniu i z przedmową Giacoma Antoniniego (Ed. d'Italia — Rzym). Antologja ta zostanie równocześnie przełożona na język francuski i angielski.

Doskonałe studjum o Rimbaudzie („Génie de Rimbaud" — Libr. Delagrave — Paris) wydał André Fontaine. Książka ta przynosi nietylko szereg dotychczas nieopublikowanych danych o życiu poety, nietylko ustala nareszcie właściwe teksty jego utworów, ale usiłuje we wnikliwem studjum psychologicznem dać możliwie pełny obraz tej zagadkowej psychiki.

Uczony i badacz hinduski Anath Nath Basu wydał w przekładzie na język angielski kilka poematów Mirabai, świątobliwej księżniczki hinduskiej z wieków średnich. Poematy, mimo że przekładał je nie poeta, lecz uczony i mimo trudności wyrażenia wielu subtelności poetyckich w języku tak obcym duchowi Hindu jak język angielski — nie straciły całkowicie swego specyficznego czaru.

W Madrycie, w maju ubiegłego roku odbył się zjazd przedstawicieli kultury różnych narodowości. Przewodniczyła temu zjazdowi p. Curie-Skłodowska. Udział wzięli m. in. Paweł Valéry, Jules Romains, Salvador de Madariaga, Miguel de Unamuno, Helena Vacarescu i in. Protokuł dyskusyj wydano w książce p. t. „L'avenir de la culture" (Paryż).

Paweł Claudel wydał, nakładem Nousyj wydano obecnie w kiążce p. t. „L'avenir de la culture" (Paryż).

Polonica

Książka Edwina Jędrkiewicza p. t. „Sąd" ukazała się nakładem Hoesicka. Są to nowele, pisane stylem nerwowym, jedrnym, zawsze celowym. Zwłaszcza zaciekawia pierwsze, tytułowe opowiadanie, ujmujące w sposób wcale nowy jakże aktualne zagadnienie: czy istotna przewaga duchowa może polegać na prostym pędzie witalistycznym (coraz modniejsze „rozpychanie się łokciami"), czy też istotną jej treść winna stanowić głęboka dyscyplina wewnętrzna.

„Meleager" Wyspiańskiego został przełożony na język angielski przez Florence Noyes i George Rapall Noyes i wydany w pięknej szacie graficznej przez University of California Press w Kalifornji.

Prof. Ryszard Ganszyniec wydał (we Lwowie) w bibljotece „Filomaty" Silviludia Macieja K. Sarbiewskiego i Księgę hymnów Jana Dantyszka (w tłumaczeniu J. M. Harhali).

W Bibljotece Wiedzy ukazała się praca z dziedziny antropologji, pióra prof. Jana Czekanowskiego. Tytuł: „Człowiek w czasie i przestrzeni". Książka zawiera następujące rozdziały: Zakres, cele i zadania antropologji, Z zagadnień systematyki człowieka, Europa, Strefa śródziemnomorska, Strefa atlantycka, Europa środkowa, Europa wschodnia, Azja, Afryka, Australja, Oceanja i Ameryka. Pracę uzupełnia 81 ilustracyj, 7 tablic oraz mapy.

„Nieboska komedja" Krasińskiego będzie wystawiona w wiedeńskim Burgtheater. Dzieło to grane było przed paru laty w języku czeskim w miejskim teatrze w Pradze.

„Pan Tadeusz" Mickiewicza ukazał się nakł. Ukraińskiego Naukowego Instytutu w Warszawie, jako drugie wydanie przekładu M. Rylskiego.

Świat słowiański

Przewodnik bibljograficzny literatury rosyjskiej od r. 1736 — 1932 opracował A. G. Fomin i wydał w Leningradzie. Książka zawiera dane odnoszące się do bibljografji, historjografji i encyklopedyj z zakresu literatury.

Twórczość Czechowa rozważa z religijnego punktu widzenia M. Kordiumow, autor wydanej w Paryżu pracy p. t. „Serdce smjatennoje". Autor nie usiłuje z ateisty Czechowa zrobić człowieka religijnego, lecz wykazuje w jaki sposób narastał u Czechowa ateizm i do jakiego stopnia był on wypływem właśnie religijnego nastawienia jego psychiki.

Poezje słowackiego pisarza Jana Smreka, wydawcy literackiego czasopisma „Elan" ukazały się w drugiem (Bozske uzly") i w trzeciem („Cválajúce dni") wydaniu.

Pod redakcją Miłoša Crnjanskiego poety jugosłowiańskiego zacznie wychodzić w Belgradzie czasopismo literackie p. t. „Ideja".

Zbiór niedrukowanych drobnych prac Puszkina wydali (Academia — Leningrad) M. Modzelewskij, T. Senger i D. Jakubowicz. Tom zawiera drobne przekłady z języków obcych, notatki na temat Żukowskiego przekładu „Pieśni Igora", drobne artykuły, listy w sprawach handlowych i t. d.

Matica Slovenska rozpoczyna wydawnictwo miesięcznika p. t. „Slovensko". Redakcję objął Stanisław Mečiar. Artykuł wstępny numeru 1-szego zawierać będzie ogólne kulturalno - filozoficzne rozważania. Treść numeru wypełnią zagadnienia literackie, społeczne i kulturalne.

Stanisławskij, słynny teatrolog i reżyser rosyjski wydał swą autobiografję p. t. „Ma vie dans l'art" (Ed. Albert, Paryż).

Teatr, plastyka, muzyka

W międzynarodowym kongresie teatralnym, który odbył się między 8-ym a 15-ym października w Rzymie, wzięli udział przedstawiciele 20-tu państw. Przewodniczył mu Luigi Pirandello. Referaty zgrupowano dookoła kilku podstawowych zagadnień. Rozwoj produkcji dramatycznej omówili m. in. Antoine, Salvini, Amiel, o architekturze teatralnej mówił m. in. J. Gregor, o teatrze dla mas i teatrze kameralnym Bontempelli i Gropius, o technice scenicznej i sztuce dekoracyjnej Prampolini, Unruh, Marchi, Hilar, o teatrze w moralnem życiu narodów — Copeau, Marinetti, Hauptmann, o teatrze państwowym Meyerhold, Yeats, Fabre, d'Amico.

Książkę o malarstwie meksykańskiem w XIX-ym wieku wydał w Londynie (D. Appleton - Century Co) Roberto Montenegro. Praca ta zainteresować musi ogromnie każdego interesującego się malarstwem Europejczyka, wykazuje bowiem ona, że rozwój sztuki szedł tam nietylko na równi z rozwojem nowych kierunków w plastyce europejskiej, ale wyprzedzał nieraz wiele krajów, nie potrzebując u siebie zwalczać opozycji opierającej się na tradycjach. Do najsłynniejszych nazwisk wieku XIX-go należą José Maria Estrada, José Maria Iriarte, A. Rincón — równie wybitni twórcy jak Picasso, Derain czy Modigliani. Pracę pięknie wydaną zdobi 63 reprodukcyj.

Szuberta symfonję w E-dur, którą muzyk naszkicował w r. 1821, lecz której partyturę pozostawił niewykończoną, opracował Feliks Weingartner: utwór ten będzie odegrany jeszcze w roku bież. w filharmonji wiedeńskiej pod kierownictwem Weingartnera.

Monografję o teatrze ateńskim wydał p. t. „Athènes et son Théatre" André Bellessort (Libr. Ac. Perrin — Paryż). W szeregu rozdziałów opisuje autor stronę dekoracyjną, aktorów, twórców tragedyj i komedyj, patrjotyzm w greckiej twórczości dramatycznej, religijną mitologję, zagadnienie zbrodni, fatum i miłości. W zakończeniu podaje dwa niewielkie studja: o tragedjach Eurypidesa i o Arystofanesie.

Taniec religijny u ludów świata — obrazuje otwarta w paryskiem muzeum etnograficznem, wystawa interesująca wybitnie zarówno etnografów, jak historyków sztuki i teatru. Wystawa obejmuje zarówno dzieła sztuki taniec święty obrazujące (jak np. rzeźby, miniatury hinduskie, perskie, greckie) jak i przedmioty z tańcem tym związane (np. maski taneczne plemion oceanicznych, ludów, Afryki i Ameryki), instrumenty muzyczne, wreszcie szereg fotografij, rysunków, rekonstrukcyj obrazujących różne rodzaje tańca. Równocześnie w tem samem muzeum otwarto wystawę sztuki plemion z wysp Markizy; eksponatami są przedewszystkiem sprzęty, naczynia ofiarne i broń.

Książki i czasopisma

Józef Bogdański: O nowem życiu gospodarczem. Poznań 1934. Str. 52.

Władysław Sebyła: Koncert egotyczny. Poezje. Warszawa 1934. Wydawnictwo J. Mortkowicza. Str. 60.

Biuletyn Polsko - Ukraiński (Nr. 40, r. III) J. Lipowiecki: Komintern a Liga Narodów; Pińska Kongregacja Generalna i jej znaczenie; J. Mioduszewski: Ukraińcy, profesorowie polskiej młodzieży; Bibljoteka im. S. Petlury w Paryżu; Varia; Kronika.

Elan (wrzesień 1934) Jan Smrek: In hoc signo; J. Irmler: Dve odpovede Josipa Vidmara; P. Klokocz: Preživanie; V. Vitinger: Umenie nemožno nivelizovat; J. Barcz-Ivan: Oblok a zrkadlo; P. G. Hlbina: Tabu; L. Ondrejov: Piesen; Jano Kostra: Zapady; Jan Haranta: Pieta; Janko Alexy: Maliar Frant. Reichental; Rudo Brtan: Blokovi „Dvanasti" v slovenskom preklade; R. Dilong: Versz podivina; K. Sidor: Ako som pisal „Andreja Hlinku".

Przegląd Współczesny (wrzesień 1934) Tadeusz Kowalski: Omar Chajjam; Emeryk Lukinich: Stefan Batory — książę siedmiogrodzki; Henri Hauser: Polityka ekonomiczna dnia dzisiejszego i jej niebezpieczeństwo dla pokoju; Wład. Gluck: „Mlada Bosna"; Leon Chwistek: Obrona logiki; Leon Wachholz: Karty z życia dwuch profesorów medycyny Uniwersytetu Jagiellońskiego w wieku XVI i XVII; Maciej Starzewski: Książka o absolutyźmie; Wanda Dobrowolska: Ideologja bibljotekarstwa w Rosji Sowieckiej. J. H. Retinger: Religja angielska; Wiktor Ormicki: Monografja o Gdyni; J. D.: Emeryk Lukinich; St. W.: Henryk Hauser.

Polonista (r. IV, z. III — IV) Dr. S. Kasztelowicz i dr. I. Libura: Wycieczki w nauczaniu jęz. polskiego; A. Litwin: Nauczanie jęz. pol. w kl. I szkoły powszechnej (cz. II); dr. K. Tymecki: Nauczanie gramatyki języka ojczystego; J. Grodzka: Z doświadczeń dydaktycznych, w kl. I gimn.; dr. J. Gołąbek: Jak polonista może korzystać z encyklopedji „Świat i życie"; Sprawozdania i oceny; Przegląd literatury dla dzieci i młodzieży; dr. Z. Szmydtowa: Triumf artysty; dr. Z. Niemojewska-Gruszczyńska: Monografja J. Kleinera o Mickiewiczu; Ze studjów nad Mickiewiczem (St. Pigoń, A. Wojtecki); Z historji literatury (M. Danielewiczowa, H. Życzyński, G. Thonowa); Estetyka i teorja literatury (St. Ossowski, G. Thonowa, St. Skwarczyńska, V. Żirmunskij).

Biuletyn Polsko - Ukraiński (nr. 34) Niezbędna książka; I. Kedryn: Odwrót z Kijowa; J. Lipowiecki: Na ruinach ukraińskiej hodowli; Pomniejszyciele narodu; „Zapadnaja Rossija" w płaszczu kominternowskim; T. Szewczenko: Na wieczną pamięć Kotlarewskiemu (przeł. J. Pogonowski).

Rocznik Literacki za rok 1933 (nr. II) S. Kołaczkowski: Literatura polska w 1933; K. W. Zawodziński: Liryka; S. Adamczewski: Dramat; K. Irzykowski: Dramat w teatrze; L. Piwiński: Powieść; S. Pigoń: Wznowienia literackie; Brückner: Wydanie sejmowe Mickiewicza; Przekłady. W. Chwalewik: Literatura angielska i angloamerykańska; Z. Czerny: Literatura francuska; S. Essmanowski: Literatura hiszpańska; J. Gruszczyńska: Literatura holenderska; L. Piwiński: Literatura niemiecka: R. Blüth: Literatura rosyjska; J. Birkenmajer: Literatura rumuńska; S. Kołaczkowski: Literatura skandynawska; J. Gołąbek: Literatury słowiańskie; M. Brahmer: Literatura włoska; K. W. Zawodziński: Literatura żydowska; K. Górski: Literatura podróżnicza; S. Furmanik: Literatura pamiętnikarska; A. Kopczewska: Książki dla dzieci i młodzieży; J. Krzyżanowski: Badania nad literaturą: M. Kridl: Teorja i krytyka literatury; T. Makowiecki: Laureaci r. 1933; H. Elzenberg: Estetyka; W. Kubacki: Czasopisma literackie; P. Grzegorczyk: Literatura polska w przekładach; M. Rusinek: Repertuar teatrów w Polsce. Warszawa 1934. Nakł. Instytutu Literackiego. Str. 346.

Nowa książka (r. I. z. 7) K. Estreicher: Powrót do średniowiecza; St. Rygiel: P. Grzegorczyka „Bibljografja prac Bronisława Gubrynowicza"; J. Jankowski: Cz. Jastrzębiec - Kozłowskiego „Absolut a względność"; Juljan Babiński: B. Dyakowskiego „Nasze zboża"; M. B. Lepecki: J. Giżyckiego „Biali i czarni"; J. Kostrzewski: „Materjały Prehistoryczne"; T. Lehr-Spławiński: H. Konecznej „Studjum eksperymentalne artykulacji głosek polskich": K. Hartleb: dr. J. Piotrowskiego „Zamek w Łańcucie"; B. Dembiński: A. M. Skałkowskiego „Rodowód Józefa Sułkowskiego i jego listy młodociane"; E. Muszalski: Glassa Jakóba, notarjusza, członka Kom. Kod. i Natansona Wiktora adwokata „Prawo o notarjacie"; K. Gleyden - Zieleniewski: Wł. Gindricha „O Polsce na morzu"; K. Króliński: St. Drzewieckiego „Wychowanie obywatelsko - państwowe w nowych programach"; H. Ułaszyn: H. Gaertnera i A. Passendorfera „Poradnik gramatyczny"; J. Grabowski: J. Benneta „Skowronek"; A. Drogoszewski: H. Drzewieckiego „Kwaśniacy"; E. Woroniecki: A. M. Nowakowskiego „Półdjablę"; St. Niewiadomski: Dr. Z. Lissy „Zarys nauki o muzyce"; St. Dąbrowski: Ks. Bol. Makowskiego „Sztuka na Pomorzu, jej dzieje i zabytki"; Wł. Kollis: Inż. A. Bilińskiego - Leguna „Wielka droga wodna Katowice — Kraków — Warszawa — Gdańsk; F. K. Cieszyński: Dr. med. Wł. Mikułowskiego „Klinika i leczenie krztuśca"; Kronika; Bibljografja; Prasa.

Kamena (r. II, Nr. 1) Stan. Czernik: Poeci Lubelszczyzny; Jan Brzękowski: Kiedy; Olga Dauksztа: Babka Alona: Antoni Madej: Z cyklu „Kształty"; Paweł Hertz: Galary; Cz. Janczarski: Gdy zielona nowina...; K. A. Jaworski: Itinerarium; Kaz. Namysłowski: Miłość wysychająca; Z poezji serbskiej i chorwackiej: Jovan Dučić, Svetislav Stefanović, Gustaw Krklec, Vladimir Nazor, Božo Lovrić; Artur Rimbaud: Komedja pragnień (przeł. K. A. Jaworski); M. Czuchnowski: Od estetyzmu do proletarjatu; Jens P. Jacobsen: Doktór Faust. Jest pustka w mojej duszy (przeł. J. Mondschein); Noty. Wkładka linorytowa Z. Waśniewskiego.

REDAKCJA: Jerzy Braun, Krosno, Rafinerja nafty (Małopolska). Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Chmielna 68 m. 77 Prenumerata: kwartalna 3 zł., półroczna 5 zł., roczna 10 zł Konto P. K. O. Warszawa — Jerzy Braun 153.210
Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „BLUSZCZ", Warszawa, Solec 87.